VariArt

pismo kulturalno-literackie

NR 02/2022 (55)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w OLSZTYNIE

www.wbp.olsztyn.pl

ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Charyzma w świecie zwierząt

Charyzma jest słowem zaczerpniętym z teologii, gdzie opisywało jednostki obdarowane łaską boską, darem bożym. Z biegiem czasu słowa zmieniają swoje pola semantyczne, tak jak w przyrodzie gatunki zmieniają swoje zasięgi występowania i pojawiają się na nowych obszarach (np. gatunki obce i gatunki inwazyjne). Na nowych areałach mogą zmieniać własne cechy ekologiczne i ewoluować swoją własną ścieżką. Charyzma, po skolonizowaniu innych obszarów języka, przybrała nowe znaczenie semantyczne. Oznacza teraz także osobiste cechy jednostki ludzkiej – coś co posiada, coś w co jest wyposażona. Cechy te czynią taką osobę wyjątkową na tle całego społeczeństwa. Przez to osoba charyzmatyczna ma większy wpływ na innych. W takim kontekście nie utożsamimy tych cech z darem boskim. Odnosimy je na przykład do lidera.

A kiedy lider zostaje uznany za charyzmatycznego? Wtedy, kiedy ma określoną misję do wypełnienia (w mniemaniu lidera lub jego otoczenia), a po drugie, gdy w sposób spontaniczny zostają uznane przez zwolenników jego wyjątkowe cechy czy zdolności. Uznanie to opiera się na irracjonalnych odczuciach i emocjach, dla których punktem odniesienia są atrybuty lidera postrzegane na podobieństwo boskiego stygmatu. W każdym razie czegoś ponadprzeciętnego.

Gdyby szukać odpowiedników charyzmy w świecie przyrody, to byśmy mogli odwołać się do gatunków zwornikowych, kluczowych, wywierających duży wpływ na cały ekosystem, a tym samym na inne gatunki. Ten wpływ wynika z relacji troficznych z innymi gatunkami oraz łańcuchów pokarmowych. Tak jak w gotyckim sklepieniu kamień zwornikowy utrzymuje całe sklepienie, a jego usunięcie powodować może katastrofę budowlaną, tak w przyrodzie pojawienie się lub usunięcie gatunku zwornikowego wywiera nieproporcjonalnie duży wpływ na cały ekosystem. Możemy także mówić o gatunkach parasolowych, z pomocą których możemy chronić wiele innych. Gatunki te są irracjonalnie postrzegane jako ważne i wyjątkowe na tle innych, np. panda. Chroniąc taki gatunek parasolowy chroni się całe siedlisko i żyjące tam liczne gatunki, o których zazwyczaj nie mamy żadnego pojęcia. Są parasolowe, bo są dostrzegane przez człowieka. Tak jak miejskie łąki kwietne, będące jednocześnie siedliskiem wielu roślin i bezkręgowców. Czy jak chrząszcz pachnica dębowa dla przydrożnych alei z dziuplastymi drzewami. Jeden reprezentant dla całej różnorodnej grupy organizmów.

Na śródmiejskich łąkach kwietnych ludzie dostrzegają głównie duże, kwitnące rośliny. Często są to gatunki ogrodnicze, a nie te dziko żyjące. Czyli z przyrodniczego punktu widzenia są to specyficzne rabaty kwiatowe, a nie małe centra różnorodności biologicznej. Tak naprawdę w łąkach kwietnych najważniejsze są zwykłe, niepozorne chwasty w mieście – rośliny, na ochronie których zależy przyrodnikom. W odniesieniu do łąk kwietnych mówi się najczęściej o jednym gatunku – pszczole miodnej. A przecież żyje tam wiele owadów, których przeciętny człowiek nie dostrzega i nawet nie wie o ich istnieniu. Wśród zapylaczy najczęściej pamiętamy o pszczole miodnej, a gatunków pszczołowatych jest dużo więcej: trzmiele, pszczolinki, miesierki, lepiarki i wiele innych. A to nie jedyne gatunki owadów, które pełnią funkcję zapylaczy, należy do nich równiez wiele motyli, chrząszczy – ba, nawet samce komarów.

W skali biosfery Homo sapiens bez wątpienia jest gatunkiem zwornikowym. A sam siebie nazywa nawet charyzmatycznym i to w sensie teologicznym. Korona stworzenia królująca nad całym światem ożywionym. Człowiek bez najmniejszej wątpliwości doprowadza do ogromnych zmian, nawet masowego wymierania gatunków. Czy nie jest na wyrost to „samokanonizowanie się" człowieka? Dodawanie sobie wartości i znaczenia? A przecież mógłby być traktowany jak choroba całej biosfery, jako pasożyt i wirus.

Charyzma to cecha obiektywna, a nie samozwańcza. W świecie przyrody i w świecie ludzkim sporo mamy samozwańczych liderów, uważających się za charyzmatycznych. Czasem jednak jest to „charyzma" destrukcyjna dla świata.

Rys. Karolina Lewandowska

W NUMERZE 02/2022:

02 KIJ W MROWISKO
STANISŁAW CZACHOROWSKI: Charyzma w świecie zwierząt

04 WYWIAD
Z ANDRZEJEM FABISIAKIEM rozmawia MONIKA STĘPIEŃ:
Zawsze miałem odpowiedź na pytanie „po co?"

09 POEZJA
JERZY SZCZUDLIK: Makabreska teatralna

10 POEZJA
URSZULA KOSIŃSKA: Wiersze

11 POEZJA
PAWEŁ LEWANDOWSKI: Wiersze

12 DRAMAT
ISHBEL SZATRAWSKA: Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia

14 DEBIUT POEZJA
EMILIA SYPNIEWSKA: Wiersze

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA
AGNIESZKA MARKOWICZ, AGNIESZKA SERRAFIAN: Koledzy z Warmii

16 GALERIA
AGNIESZKA MARKOWICZ: Koledzy z Warmii

18 KRÓTKA FORMA
ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Olsztyńskie „ikony" – URANIA

20 FILM
MARTA CHYŁA-JANICKA: Tylko dla twoich dwojga oczu,
czyli misja scenarzysty w stereoskopowej animacji lalkowej

24 SZTUKA
BEATA BROKOWSKA: Bajka, o której nie da się zapomnieć

26 INICJATYWA
MAŁGORZATA OLEJNIK: Pasja czy charyzma, czyli opowieść o Leśniczówce Gaja

27 INICJATYWA
EWELINA ZDANCEWICZ: Kuźnia Społeczna

28 REGION
JAKUB KNYZEWSKI: Ważne tematy potrzebują przestrzeni.

30 RECENZJA
KATARZYNA GUZEWICZ: Lady Patricia vel Hrabina czy Ally?

31 NA KOŃCU
KAROLINA ROGÓŻ-NAMIOTKO: Charyzma jest kobietą

Na scenie, w soczewce kamery, za oknem, na naradzie biznesowej i pomiędzy wierszami… Charyzma potrzebna jest wszędzie i rozwija się wszędzie.

Czym jest? Jak ją zdefiniować? Te z pozoru proste pytania sprowokowały lawinę myśli. I tak od lat Fabisiak gra z nią i w nią w teatralnych przestrzeniach, Szczudlik i Sypniewska wraz z innymi poetami chcą okiełznać frazą, Markowicz wplata w drobiazgowe światy malarskie, a Chyła-Janicka nadaje ją przedmiotom martwym. Szukałyśmy jej w naturze, w niezwykłych biografiach i nowoczesnych przestrzeniach. Co z tego wynikło? No cóż…

Charyzma, czym jest – każdy niech przeczyta!

Redakcja. Brawo My

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 02/2022 (55)

Wydawca:
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Urszula Maciąg,
Anna Rau, Anita Romulewicz, Monika Stępień
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Pierwsza strona okładki: Przemek Kozak, skład: Iwona Bolińska-Walendzik
Czwarta strona okładki: Iwona Bolińska-Walendzik (druk typograficzny, cykl „Patroni 2022 r.")

Druk: „Gutgraf" Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn
Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z ANDRZEJEM FABISIAKIEM rozmawia MONIKA STĘPIEŃ

Zawsze miałem odpowiedź na pytanie „po co?”

Monika Stępień: Czy w świecie teatru możliwe są przypadkowe spotkania?
Andrzej Fabisiak: Naturalnie! Teatr jest zjawiskiem, które łączy w sobie bardzo wiele sztuk i ludzi: twórcy, artyści, malarze, kompozytorzy, reżyserzy, aktorzy, a czasami specjaliści w bardzo wąskich dziedzinach, np. profesjonalny instruktor fechtunku, który musi ułożyć pojedynek w *Hamlecie*, czy osoba, która będzie pomagała w impostacji głosu w spektaklach muzycznych. Ta rozpiętość spotkań jest niezwykła. Zarówno przypadek, intuicja, jak i metafizyka są zjawiskami normalnymi w teatrze.

A spotkania codzienne, międzyludzkie – to też sztuka?
Oczywiście, że tak! My czerpiemy ze swoich doświadczeń i wymiany poglądów – na przykład współpraca aktora z bogatą praktyką z tym, który dopiero zaczyna, jest w teatrze czymś bardzo częstym. Jeśli staramy się obserwować i utożsamiać z tym, co robimy, to naturalnym jest, że chcemy wypadać jak najlepiej. Z drugiej strony mamy też pewien warsztat. I nie mówię tylko o tym, co się dzieje na scenie, ale też o wszystkich pracownikach. Nie wyobrażam sobie, by ktoś nie mógł skorzystać z doświadczania wspólnej pracy, niezależnie od tego, czy gra się z Holoubkiem, Rumnickim, Zapasiewiczem. Zawsze jednak musi być to założenie, że mnie się chce.

A co jeśli z takich relacji wychodzi farsa albo jakiś dramat? Jak sobie z takimi relacjami radzi reżyser? Bycie reżyserem zmienia optykę na prawdę, fałsz, na to, co się dzieje w świecie zewnętrznym, poza teatrem?
Sztuka teatru jest czymś bardzo umownym. Podpisujemy konwencję z widzami, że oto przychodzimy do miejsca, gdzie zasiądziemy sobie, mniej lub bardziej wygodnie, po stronie widowni, a naprzeciwko pojawią się aktorzy, których rolą jest odgrywanie. Można oczywiście sięgać tutaj do różnych konwencji teatru, bo zapewne efekt obcości grających aktorów u Bertolta Brechta będzie czymś innym niż w metodzie Stanisławskiego. Jednak ta umowa warunkuje, że każda ze stron będzie rozmawiała ze sobą. Oczywiście jest jeszcze taka kwestia, że w pewnym momencie pojawiła się czwarta ściana i aktor udawał, że nie ma widza, a ten podglądał aktora. W tej chwili mamy głównie do czynienia z teatrem, który tej bariery nie ma. Pretekstem jest zawsze idea sztuki. Dodam tutaj banał: teatr bez widza nie istnieje i jeśli nie będzie tego dialogu na płaszczyźnie wiarygodności, to wtedy znika medium sztuki teatru. My możemy się śmiać podczas farsy, możemy przeżywać losy króla Leara, ale na obu płaszczyznach obowiązuje nas konwencja i wierzymy w to, co przedstawiają nam aktorzy. Jak powiedział wielki reformator Konstanty Stanisławski: teatr jest kłamstwem doskonałym.

Kogo w takim razie na scenie widzimy, a na kogo patrzymy?
Niewątpliwie jest to ciekawe pytanie, bo… to bardzo różnie wygląda. Na pewno jeśli mamy do czynienia z aktorem, który ma świetny warsztat, jeśli nas przekonuje i ma to coś, to zaczynamy wchodzić w przestrzenie bardzo trudne do zdefiniowania. Bo to coś to zespół cech związanych z osobowością i umiejętnością, talentem – słowem z tym, co określamy sztuką aktorską. Jeśli te warunki są spełnione, mówimy, że mamy do czynienia z osobowością charyzmatyczną, czyli człowiekiem, który otrzymał ów dar – umiejętność i talent. Chcę dodać też, w kontrze do tego co powiedziałem, że znam aktorów, aktorki, którzy pojawiają się na drugim czy trzecim planie i też przyciągają swoją uwagę widzów, bowiem mają to coś.

Jednak te cechy nie dotyczą tylko tych, którzy są na scenie…
Absolutnie! One dotyczą wszystkich osób!

A od czego zaczyna się tworzenie spektaklu? I czy reżyserowi ten zespół cech również jest potrzebny? Często mówi się o tym, że reżyser, jako fundament grupy teatralnej, otwiera aktorów. Potrzebna jest do tego charyzma? A może jest on wybitnym warsztatowcem z intuicją do ludzi?
Myślę, że są i tacy, i tacy. Jednak jeśli reżyser jest pozbawiony charyzmatyczności, to myślę, że jest to duży problem. Zwróćmy uwagę na to, że inną sprawą jest potencjał intelektualny, a inną umiejętność zarażenia ideą całego zespołu. Im bardziej zespół będzie się identyfikować z tym, co mówi reżyser, tym większy potencjał, żeby praca zakończyła się oczekiwanym efektem. To są warunki konieczne, ale też chciałbym zwrócić uwagę na takie mniej podkreślane cechy jak przewodnictwo, umiejętność kontaktu, komunikatywność i – nie wiem, czy nie najistotniejsza – szacunek do drugiego człowieka, partnera. Empatycznemu, kontaktowemu reżyserowi, który tak samo traktuje aktora, elektryka czy akustyka, jest oczywiście łatwiej, a przede wszystkim jest skuteczniejszy.

Te cechy przypisywane są liderom, a przecież działalność kulturalna czy działalność związana ze sztuką jest nacechowana równością. Czy w takim razie ten artystyczny świat potrzebuje mimo wszystko mocnych przywódców, jednostek, które będą tzw. pierwszymi poruszycielami, czy preferuje jednostki niewychylające się? Mam z tyłu głowy narodowe przekonanie o tym, żeby nie pokazywać za dużo, nie przejmować inicjatywy. Jesteśmy stopowani, a rozmach i śmiałość wydają mi się w sztuce niezbędne. Są przecież także

Fot. Monika Stępień

bardzo przyziemne sprawy w postaci finasowania sztuki, tzw. chodzenia po gabinetach… To jak to jest z tymi mocnymi liderami?

Myślę, że historia sztuki pokazała, że ogromna większość osób, które zaistniały, to są ludzie bardzo silni, charyzmatyczni i to przywództwo mało różni się od tego w polityce. Tak naprawdę te wszelkie przemiany rewolucyjne dzięki Danto czy Robespierre'owi posiadały podobne cechy, co momenty przemian w sztuce. Myślę tutaj o wszystkich, którzy tworzyli wielką reformę teatru na świecie na przełomie XIX i XX w. – Stanisławski czy Antonin Artaud, a w Polsce Juliusz Osterwa, Jerzy Grotowski czy Tadeusz Kantor. Jako silne osobowości, wprowadzili do sztuki zupełnie nowe wartości. Są też ludzie, którzy tworzą i osiągnęli wysoki pułap w sztuce zupełnie bez przywódczych cech, które niekoniecznie są potrzebne do napisania wybitnej powieści. Myślę, że ta siła przydaje się także w sztukach plastycznych – wystarczy spojrzeć na Dalego czy Picassa, którzy rewolucyjnie zaistnieli jako artyści.

Takie burzenie zastanego porządku czy zmienianie konwencji, które obowiązują, bywa jednak bolesne. Zastanawiam się, czy teatr powinien być nieprzyjemny…

Myślę, że teatr nie powinien być dla nas obojętny. I to jest ten pierwszy warunek. Jeżeli – i wracam tu do płaszczyzny dialogu – spektakl, powieść, obraz, utwór muzyczny będą na tyle interesujące i ciekawe, że stanowić będą dla nas pretekst nie tylko do przeżyć duchowych i estetycznych, ale na przykład intelektualnych, to jest to warunek *sine qua non* bycia sztuki tu i teraz. Uważam, że jeżeli nas coś nie obchodzi, a sztuka jest obojętna, to ona nie istnieje, sama siebie dezawuuje, idąc na margines i przepadając…

A nuda? Jako zagadnienie czy temat do podjęcia w teatrze…

Interesująca, ciekawa jako zjawisko. Myślę, że w przypadku pewnych powtórzeń, tak sobie główkuję, na zasadzie habituacji, czyli przyzwyczajania się do założeń, zjawisk, to może istnieje. Trudno mi wypowiadać się na temat nudy, ponieważ ja tak naprawdę nie wiem, co to jest – ja się nie nudzę. Wydaje mi się, że w większości przypadków, kiedy dociera do nas sygnał, że za chwilę może zacząć się nuda, wyłączamy się, zmieniamy, unikamy – i w tym przypadku jest to zdecydowanie zjawisko pejoratywne.

A jakie nudne książki czytał mały i już duży Andrzej Fabisiak? Które książki porzucił, a do których wraca?

Należę raczej do tych osób, które bardzo rzadko wracają do literatury. Generalnie staram się czytać ciągle coś nowego, tak jak wyjeżdżam w miejsca wciąż przeze mnie nieodkryte. Wyjątkiem jest *Czarodziejska góra* – to jest taki fantastyczny wzorzec! Nasza noblistka napisała książkę, która do niej nawiązuje i cieszę się na moją najbliższą lekturę na urlop. Spektrum literatury, która mnie interesuje, jest bardzo złożone – od klasyki po książki kryminalne, społeczne, czasem nawet sensacyjne, często też czytam dramaty współczesne. Obecnie analizuję i zgłębiam twórczość Bertolda Brechta, ponieważ pracuję z aktorami Wspaniałego Teatru Bez Nazwy z Gietrzwałdu nad spektaklem opartym na jego dziełach.

Wspaniale, że dochodzimy do sprawy realizacji spektakli. Chciałabym zapytać, jak patrzy Pan dzisiaj na swoje pierwsze realizacje, pierwsze kroki w chmurach. Nie chodzi mi o analizę naukową, tylko o podróż sentymentalną. Jak wyglądał świat teatru? Na pewno zmieniło się zaplecze techniczne, ale zgaduję, że niespecjalnie to mentalno-polityczne…

No, tak, tak! Oczywiście jest to kamień milowy przy doświadczaniu pracy na różnych płaszczyznach teatru. Pamiętajmy jednak, że pracując w teatrze zawodowym, ani przez chwilę nie rozstałem się z teatrem amatorskim i organizacjami pozarządowymi, w tym z Towarzystwem Kultury Teatralnej Warmii i Mazur. To są te doświadczenia, które wypracowały mechanizmy poruszania się przeze mnie na tych wszystkich płaszczyznach tak od a do z – występowałem w różnych rolach, poprzez reżyserię spektakli do różnego rodzaju koncertów, spektakli muzycznych podczas Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję"…

No właśnie – mamy i „Bitwę pod Grunwaldem", i „Wehikuł Czasu", i konkursy recytatorskie dla dzieci… Pomysły się nie kończą…

Dokładnie tak! Jeszcze przed chwilą miałem telefon, żeby wziąć udział w pracach jury w finałach ogólnopolskich konkursu poezji śpiewanej. Z tej perspektywy chciałbym się właśnie odnieść do tych początków, o które Pani pytała. To było mniej więcej tak: gdyby ktoś mi powiedział, gdy rozpoczynałem pracę, że będę pracował w instytucji teatralnej, gdzie jest budynek i gdzie ludzie przychodzą do pracy, to bym się bardzo obraził! Bo dla mnie to było zupełnie niedorzeczne i pozbawione sensu. Mój kontakt z teatrem wyrastał na gruncie teatru alternatywnego, teatru zbuntowanego, który sobie w ogóle nie wyobrażał, że aktor wchodzi do teatru z zakupami, zostawia je w garderobie i wychodzi grać Hamleta. Nie. To był sposób na życie. Trzeba odnieść to do teatrów, które wtedy funkcjonowały – Teatr 77 w Łodzi, Teatr Ą z Gdańska, Pleonazmus, Gonk. To wszystko wyrastało na płaszczyźnie ruchów wręcz rewolucyjnych. W Stanach Zjednoczonych natomiast na płaszczyźnie bardzo obyczajowej, ale też z bardzo silnym programem przeciwstawienia się udziałowi USA w wojnie w Wietnamie – czyli dzieci kwiatów, wolność i przede wszystkim walka z mieszczaństwem. Młodzież protestowała przeciwko temu, że ich sensem życia będzie domek z basenem i dobre samochody. W związku z tym powstawały różnego rodzaju komuny. W teatrze zaczęło się to objawiać w ten sposób, że po raz pierwszy pojawiły się spektakle takie jak *Paradise Now*, *Och, Kalkuta!*, gdzie aktorzy w ramach protestu zaczęli wychodzić na sceny nago. Później widzieliśmy też siłę działań społecznych – mam tu na myśli np. *Hair*. Natomiast u nas, w Polsce, to jest cały czas płaszczyzna polityczna…

No właśnie, bo mówimy tu o Stanach, o rewolucji seksualnej i obyczajowej, rozszalałym kapitalizmie, ale to trochę działo się jakby obok nas. Nas, w Polsce, jeszcze przez długi czas nie będzie to dotyczyło…

A jednak! Pomimo tej kurtyny myśmy ubierali się w koszule w kwiaty, nosiliśmy długie włosy, ktoś tam odpalał marychę i te działania do nas docierały. Przede wszystkim byliśmy w ustroju, który bardzo silnie oddziaływał na nasze życia. W związku z tym protestowaliśmy przeciwko temu…

Ten organiczny teatr nie mógł mieć miejsca w instytucjach?

Miał miejsce, jednak nigdy nie miał takiej siły. Oczywiście, że można by było mówić o słynnych *Dziadach* Dejmkowskich, o roku 1968, o Holoubku, jednak jeśli mówimy o mocy sprawczej teatru, który nie do końca mógł być tak silny i mocny, to pokazują to trochę podane przykłady. Natomiast myślę, że te wszystkie pozainstytucjonalne formy teatru i znakomite spektakle, kabarety – w przeciwieństwie do zachodu – miały u nas bardzo silne podteksty. Nie mówiło się wprost, bo cenzura nie przepuszczała, natomiast mówiło się w taki sposób, żeby widz odczytywał te podteksty bardzo łatwo i prosto. Czasami oczywiście była cała paleta dodatkowych środków wyrazu, jak np. jakiś znak plastyczny, symbol, piktogram i wszyscy wiedzieli już, o co chodzi. To było szalenie ekscytujące, bo oprócz słuchania, dialogowania człowiek musiał jeszcze odkrywać te wszystkie dwuznaczności, które odnosiły nas do tego, żeby mówić jednym głosem i nie zgadzać się na to, w czym żyjemy.

Dzisiaj sztuka potrzebuje mniej takich kodów językowych? Jest więcej wolności w tworzeniu, podejmowaniu tematów?

Ależ absolutnie! Oczywiście, że tak! To się bardzo mocno zmieniło i to jest naprawdę silna wartość. W momencie kiedy weszliśmy do Unii Europejskiej, nasze horyzonty znacznie mocniej się poszerzyły. To jest też kwestia wymiany, festiwali, przyjazdów, wyjazdów – to w kulturze jest nieocenione, fantastyczne! Ja właśnie w swoich początkach, kiedy jako młody, buńczuczny rewolucjonista, niezgadzający się z konwencjonalną sceną, zrealizowałem taki spektakl, który był grany w pomieszczeniu, gdzie publiczność była dookoła sceny, a aktorzy grali w środku – musiało być to prawie interaktywne, nie wyobrażałem sobie tego inaczej. I oczywiście chciałem w tej sztuce po pierwsze pokazać nowe środki wyrazu, a po drugie, żeby to był taki manifest i protest. Chciałem wrzucić do tego… wszystko! Czyli i sprawy natury obyczajowej, i sprawy natury filozoficznej… Scenariusz sam pisałem, bo wiedziałem, że ja to zrobię najlepiej [śmiech]. No, i kiedy już został ten spektakl zrealizowany, to w tym naszym zamkniętym środowisku ludzi, którzy mniej więcej

wyznawali te same zasady, był bardzo interesujący i ciekawy! I myśmy się bardzo cieszyli z tego! Pojechałem jednak z nim na festiwal, absolutnie przygotowany na to, że teraz to już jest moje wejście w świat sztuki teatru i że absolutnie, oczywiście, będę zwycięzcą! W jury przewodniczącym był Marek Okopiński, znakomity reżyser, ówczesny dyrektor Teatru Horzycy w Toruniu. I pamiętam, że nikt nie spuścił mi takiego lania, jak to jury! [śmiech]

Wobec tego doskonałego dzieła! [śmiech]

Wobec tego doskonałego dzieła! [śmiech] Pamiętam niektóre zdania do dziś! I myślę, że to był rewelacyjny, wspaniały prysznic. Objawiła się ta druga strona medalu, a mianowicie pokora, myślę też o pewnej megalomanii, to wszystko gdzieś zaistniało i nauczyło mnie bardzo dużo. Oczywiście życie później pokazało, że to będzie wyglądało niekoniecznie inaczej za pięć, dziesięć lat, bo też się zdarzały różne działania, ale generalnie to była szkoła. No cóż… W którymś momencie, tak jak Teatr Stu czy Teatr Ósmego Dnia, tak i nasz teatr stał się instytucją teatralną i aktorzy zaczęli pobierać pensje, a ja przestąpiłem progi Teatru Jaracza w Olsztynie i rozpocząłem tutaj pracę.

Jednak pycha i pokora wydają mi się niezbędnym duetem pozwalającym przetrwać jako twórca czy jako człowiek, który sztuką chce coś opowiedzieć…

Myślę, że tak, że to trzeba połączyć. Ta doza pewnej bezczelności w pokazywaniu swojego *credo* jest absolutnie niezbędna. Jednak z drugiej strony pokora uczy nas i mówi nam, że przed nami byli Lupa, Hanuszkiewicz, Hübner, teatry alternatywne i warto o tym wiedzieć. Gdy dochodzimy, zwłaszcza w młodości, do pewnych odkryć, to warto sprawdzić, czy ktoś nie był przed nami…

No właśnie, ale my tu przychodzimy tacy pełni szaleńczego zapału, przekonani, że nikt tak nigdy nie tworzył, nikt tak nie pisał! Czasem też spotykam podejście, że nie mogę innych czytać, oglądać, bo się zarażę językiem, spojrzeniem, a to jest przecież doskonałym fundamentem, ale jeszcze tego nie rozumiemy. Z czasem ta wiara dojrzewa, zmienia się wraz z nami, zupełnie inne sprawy zaczynają w nas rezonować… W takim razie kiedy, przez te lata walki, pryszniców, przyjemności i rozmów, nadarzyła się okazja powiedzenia na scenie czegoś niezwykle dla siebie ważnego i to w środowisku, w którym nie ma cenzury. W momencie, kiedy przyszedł spokój ducha, spokój finansowy czy zapleczowy w postaci etatu?

Nie wiem, czy tak bym to rozpatrywał. Te pierwsze rzeczy, w których brałem udział, nawet kiedy był to mały konkurs recytatorski czy pierwsze własne, amatorskie spektakle, to myślę, że zawsze chciałem tej rozmowy z widzem i zwykle wiedziałem, w jakim celu to robię. Zawsze miałem odpowiedź na pytanie „po co?". Myślę, że nigdy nie było tak, że w którymś momencie to stało się wolnością. Gdy robiłem *Traktat moralny* Miłosza, to cenzura odrzuciła mi mnóstwo tekstu. Jednak w ogóle mi to nie przeszkodziło. Oczywiście uszczupliło kontekst, ale jeśli chodzi o cel, to byłem w stanie tak to zrealizować, żeby osiągnąć to, o co mi chodzi. Nie mam takiej cezury, że w tym momencie rozpoczęła się wolność, bo nie ma cenzury lub mam stabilną sytuację. Myślę, że taka sytuacja bardzo stabilna też nie jest na dłuższą metę dobra. Natomiast powracając do tego, co Pani powiedziała o tym szalonym zapatrzeniu w siebie w momencie inicjacji, tych pierwszych kontaktów…

Bo to jest jednak szalony czas…

Bardzo! Ale to dobrze! Niech tak będzie! To jest po prostu cecha młodości, a nawet jeśli nie młodości, to tych, którzy zaczynają. Można przecież mieć pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat i rozpoczynać swoją działalność zupełnie od początku w jakiejś dziedzinie. I to też dobrze! Trzeba swoje frycowe zapłacić! Trzeba tego doświadczyć na własnej skórze – tego się nie przeczyta. Choćbyśmy nie wiem jak tłumaczyli tym osobom, to te nasze rady czy uwagi nie będą do końca skuteczne – trzeba samemu się opatrzyć…

…ale jednak całą sztukę tworzy się na podwalinie komunikatu „wysłuchaj mnie".

Tak!

I jak teraz z tymi, którzy nie chcą słuchać?

No, tu jest bardzo duży problem. Znam olsztyńskiego pisarza, który stwierdził, że on nie pisze dla czytelników, tylko dla siebie, czyli, proszę zwrócić uwagę, w jakimś sensie jest to zaprzeczenie sensu pisania.

A to nie jest tak, że tekst – niezależnie czy jest to dramat, czy proza – leżąc w szufladzie, nie istnieje? Sztuka potrzebuje kontekstu drugiej osoby.

Myślę, że druga osoba jest nieodzowna. Jeśli ktoś chce robić autoterapię poprzez sztukę, pisanie czy mówienie, to proszę bardzo uprzejmie. Jednak jeśli ktoś pisze powieści, robi spektakle, komponuje, to siłą rzeczy czeka na odbiorcę. Mało! Jeszcze później pyta, nasłuchuje, czyta, co ten odbiorca ma mu do powiedzenia. Nie ma możliwości odosobnienia – to zahacza o hipokryzję.

A może to luksusowa sytuacja w sztuce, że już nie potrzebuję niczyjego kontekstu?

Wyobrażam sobie, że można robić coś tylko dla siebie, żeby sprawdzić, wyzwolić pewne umiejętności, ale nigdy w oderwaniu od tego, że robię sztukę, którą zobaczą, usłyszą, przeczytają odbiorcy.

W takim razie zapytam lekko prowokacyjnie – teatr bez publiczności jest w stanie istnieć?

Nie. Absolutnie. Teatr bez publiczności nie istnieje. Oczywiście, że w teatrze ubogim Grotowski coraz bardziej niwelował podział na aktora i widza – w końcu zaczął robić w przestrzeniach różne działania, ale określiłbym je już jako parateatralne. Byłem niedawno w Aspendos – to jeden z najlepiej zachowanych starożytnych teatrów rzymskich w Turcji – i miałem taką refleksję, dość może banalną, ale myślę, że symptomatyczną, że w czasach starożytnych na widowni teatru był cały przekrój społeczeństwa: goście, ambasadorowie i ci, którzy pracowali. Nawet w pewnym momencie w starożytnej Grecji osoby, które były oderwane od pracy, dostawały pieniądze za uczestnictwo w spektaklu. I tak sobie siedziałem – w tym wspaniałym teatrze z niezwykłą akustyką – i przyglądałem się przygotowywanej scenografii do spektaklu, który miał być tam grany za tydzień. Teatr bez trudu przetrwał do dzisiaj, ale i teraz, i wtedy była w nim publiczność. Nie ma szans, żeby teatr istniał bez publiczności. Tak jak pozostałe sztuki.

A czego Andrzej Fabisiak jako widz szuka w teatrze? Kiedy, zupełnie niezależnie od tworzenia, pojawia się Pan w różnych placówkach czy instytucjach, przestrzeniach miejskich i wiejskich, bo nie zapominajmy, że to środowisko niezależne, alternatywne, pozamiejskie Panu towarzyszy, kiedy zasiada Pan na widowni, nie oceniając tego merytorycznie, jest zupełnie codziennym widzem?

Ja bym zaryzykował takie stwierdzenie, że szukam przede wszystkim ciekawych ludzi, którzy chcą ze mną rozmawiać. I to mi w zupełności wystarczy. Tematy mogą być bardzo różne. Natomiast nie interesuje mnie to, czy forma jest bardziej interesująca czy mniej, nie przywiązuję uwagi do całej tej otoczki, która czasami może być bardzo piękna. Jeśli nie ma tej podstawy, jeśli ktoś nie zaintryguje, to myślę wtedy, że jest to pozbawione sensu, a ja chcę spotykać ludzi, którzy są prawdziwi i mają mi coś do powiedzenia. Nawet w momencie kiedy oceniam na przykład recytatorów, to zawsze im mówię: słuchajcie, ale ten wiersz Mickiewicza, Stachury, Herberta to ja znam, osoby, które są na widowni w większości też, i nas tak naprawdę nie interesuje utwór poetycki, tylko to, z kim mamy do czynienia, kim jest ta młoda dziewczyna, która wychodzi na scenę. Ów Tuwim czy Herbert jest tylko pretekstem, a ja chciałbym dowiedzieć się, kim ta osoba jest, co myśli i co czuje. Wtedy dla mnie jest to wartość obcowania z drugim człowiekiem. Natomiast jeśli ktoś traktuje to czysto formalnie, instrumentalnie, to jest to pozbawione sensu i zupełnie szkoda czasu.

To, o czym Pan mówi, kojarzy mi się z czymś bardzo widowiskowym, ale zagrożonym wydmuszkowością – produkowaniem kultury. Mówimy obecnie przecież o rynku sztuki – literatów dotyczą rankingi, teatrów spektakle komercyjne, które jeżdżą po Polsce z różnej jakości realizacjami. A czy teatr potrzebuje popkultury? Promocji i widowiskowości? Mamy przecież do czynienia z nowym odbiorcą – generacją Z. Milenialsi nauczyli się chodzić do teatru, odziedziczyli po rodzicach potrzebę obcowania ze sztuką, a tu pojawiają się kilkunastosekundowe TikToki, trzysekundowe wizyty na stronach internetowych. I zastanawiam się, jak powinny wyglądać opowieści snute przez teatr – być głośniejsze? Bardziej kolorowe?

Każdy teatr powinien unikać hermetyczności. Ale nie można dać się zwariować i nie można iść wyłącznie w komercję, tandetę, bo świat zgłupieje i doprowadzi nas to ostatecznie do zagłady. Oczywiście nie można się obrażać na popkulturę, bo ona była, jest i będzie. Natomiast pozostaje kwestia, na ile my chcemy z tego skorzystać, bo to już jest. Nie widzę absolutnie żadnych przeszkód, tylko jest podstawowa sprawa, a mianowicie – po co? Jeśli mam rozmawiać z drugim człowiekiem i w którymś momencie zaistnieje taka potrzeba, żeby – choćby w formie groteski – odnieść się do pewnego cytatu z popkultury, to nie widzę przeszkód. Adam Hanuszkiewicz, realizując w naszym teatrze Wyspiańskiego, zacytował, wtedy bardzo popowy gadżet, piosenkę „Mydełko Fa". I to znakomicie zagrało w tym spektaklu, świetnie rysowało relacje społeczne.

Więc młodzi nie muszą się zrażać i słuchać deklaracji, że dobry gust to sprawa pokoleniowa?

Nie, absolutnie nie. To jest coś, co kształtujemy w każdej formacji społeczno-ekonomicznej. I nie ma na to żadnej recepty. Wszystko będzie ewoluowało i rzeczy, do których myśmy się przyzwyczaili, niekoniecznie dzisiaj muszą być dobre. A z drugiej strony manifest do wszystkich: nie wylewajmy dziecka z kąpielą! Nie ograniczajmy się tylko do tego, co najbardziej oczywiste, najprostsze. A rzeczywistość jest taka, że o wiele mniej osób chodzi do teatru teraz niż w latach siedemdziesiątych i o wiele mniej osób czyta książki niż w tychże latach. To jest coś, co wynika z naszej cywilizacji, z tego co zbudowaliśmy i na to nie ma się co obrażać.

Tak, dotyczy nas zdecydowanie wielość nośników kultury… W takim razie funkcjonowanie jako twórca i aranżer kultury, bo tak też postrzegam Pana

działalność, to nieustanny dylemat, czemu pozwolić przetrwać, a co wyciszyć? Czy czuje Pan taką sprawczą siłę wpływania na rzeczywistość?
Myślę, że tak. Jest to droga, w której my wybieramy, wskazujemy i za to odpowiadamy. Musi tu być ten szalenie ważny warunek, że jeśli mam do czynienia z ludźmi, którzy oglądają spektakl, czytają książkę, słuchają utworu muzycznego, to ja za to odpowiadam. To nie jest tylko i wyłącznie moja prywatna sprawa, ale znajduję się w pewnym kontekście społecznym. W związku z tym bardzo dobre jest, że zaczynamy nazywać, wartościować pewne sprawy poprzez dyskusje – nie narzucamy, tylko rozmawiamy. Dlatego tak ważna jest ta płaszczyzna partnerstwa i szacunku dla drugiego człowieka. Wtedy jesteśmy w stanie wybrać to, co wydaje się najwartościowsze. Ważne, żebyśmy mogli każdego dnia powiedzieć sobie, że ten dzień był fantastyczny – smakujmy życie tu i teraz, nie odkładajmy niczego na później. Jednak tworząc dla drugiego człowieka, miejmy świadomość, tak jak mówiłem, odpowiedzialności i tradycji.

A co z tymi, którzy nie mają w sobie śmiałości działania? Boją się ocen?
Mamy taką tendencje, to jest fizjologia człowieka, że lubimy oceniać, lubimy się mądrzyć, lubimy ferować wyroki i tu warto wrócić do tego, o czym wcześniej wspominałem – trochę więcej pokory. Ale! Nie bójmy się! Bo jeśli jesteśmy przekonani o naszej niezgodzie, to nie bójmy się. Ja też widzę taki margines, szalenie istotny, mocny w społeczeństwie, że są osoby, które nie wierzą w siebie, są zachowawcze i wycofują się. I jest to bardzo niedobre. Po prostu na pewnym etapie, jeśli wiesz, jeśli mówisz, to absolutnie niczego się nie bój i staraj się zaistnieć, bo inaczej nie zdobędziesz tego, co cenne – doświadczenia.

Jest taki cytat, który bardzo lubię – *wszystko czego pragniesz, znajduje się po drugiej stronie strachu*. **I ja często do tego bania się zachęcam, bo 20 sekund szalonej odwagi może zmienić wszystko…**
Tak, absolutnie się zgadzam!

W takim razie chciałabym jeszcze na koniec zapytać, bo zrobił nam się taki pomost pomiędzy popkulturą a bardzo piękną, filozoficzną postawą wobec życia, który łączy różne światy… Czego nie wolno zapominać? I co należy ocalać codziennie?
Przede wszystkim siebie. I wszystkie te wartości, które tworzą naszą osobowość. Każdego dnia, wstając rano, spoglądamy w lustro, uśmiechamy się i akceptujemy siebie. To jest warunek, który da nam szansę dostrzegania drugiego człowieka. I na pewno jest to podstawowa recepta na to, żeby powiedzieć o sobie, mimo że zabrzmi to infantylnie: jestem spełniony i czuję się szczęśliwy.

JERZY SZCZUDLIK

Makabreska teatralna

On był aktorem, ona suflerką,
A teatr tym drugim domem im był.
Czasem spędzali czas pod kołderką,
Choć on ze ślubną niewiastą swą żył.

Jako artysta on był wrażliwy,
Ona robiła raczej za bestię,
Chciała, by tylko z nią był szczęśliwy
I mu co i raz myliła kwestię.

Kiedy on scenę miał z Balladyną,
Bo wdział na siebie kostium Kirkora,
To z budki apel do mordu płynął:
„Zabij ty żonę, to nasza zmora".

A innym razem, gdy był Hamletem
I wciskał widzom monolog z czaszką,
Ona, by ślubną ubódł sztyletem,
Albo by zaparł dech jej apaszką.

Gdy więc na afisz pchał się „Świętoszek",
Dała mu ciała w fałdach kurtyny,
Potem mu z budki podała proszek:
„Ja, albo ona, czas już na czyny".

On wykorzystał czas przerwy krótki
I wzmocnił żonie napój „Figura",
Ona alibi dała mu z budki,
Pogrzeb był zatem… pełna kultura.

Gdy świt zagłuszył weselne rogi
I w rolę żony weszła cholera,
Woland zakłócił miesiąc ich błogi,
Inną umieścił w budce suflera.

Życie to teatr, teatr to życie,
Ważne co dzieje się za kulisem
I kwestie, które padają skrycie
Oraz gry, które kończą się bisem.

Na scenie często nowa premiera,
Czas Lady Makbet i Antygony…
Cisza! Ktoś szepcze z budki suflera:
„Być, albo nie być? Pozbądź się żony!".

URSZULA KOSIŃSKA

Wiersze

Tamara BJ

geniusz ogłusza
odpowiada nam zawsze
o wiele bardziej
przyjemna przeciętność
niż druzgocąca doskonałość
nikt nie pojmuje prastarych
eposów
nikt nic nie widzi nie słucha

tylko patrzeć jak zostanie
wymyślona
nauka lekka i filozofia
przy której będzie można
jeść zupę
bez szczypty soli

Agnieszce Osieckiej

w poezji nie ma happy endów
poeci kończą
przeżywając obłęd
rzucają w nich kamieniami
więc kończą umierając
z pijaństwa albo jeszcze gorzej
stają się poetami uznanymi

budzą się i dziwią
czego szukają w raju poetów
raj to nie ich pora

w tatuażach dźwięków

Ewie Demarczyk

dzień ma kształt rzeki
na jej brzegach
błyszczą pióra twoich pieśni
przyszła muzyka
i wydarła oczy i język
jej szpony
i wielkie usta
pochłonęły ciało i duszę

Andrzejowi Żuławskiemu

czerwone ślady od
stąpnięcie geniuszu
między uciszeniem
a ruchem
trwa wielkie pulsowanie
bytu
z oczyma wezbranymi
od widzeń
idę zgubiony w swoim
własnym wnętrzu

URSZULA KOSIŃSKA (ur. w 1954 r.) – od ponad 37 lat zawodowo i społecznie związana z kulturą. Od 2008 roku uczęszcza do Olsztyńskiego Klubu Literackiego działającego przy Miejskim Ośrodku Kultury w Olsztynie. Współpracuje z Olsztyńskim Literackim Miesięcznikiem Mówionym i z grupą literacką Półkowniczki. Działa również społecznie, w Towarzystwie Kultury Teatralnej Warmii i Mazur oraz Fundacji Inwestuj w Kulturę im. Marka Jędrzejczyka z Krakowa. W 2014 roku wydała swój debiutancki tomik poezji *Czerwone szpilki*, a drugi *Życie wewnętrzne* w 2017 roku. Wiersze publikowała w „Gazecie Olsztyńskiej", magazynie kulturalno-społecznym „VariArt", piśmie literackim „Borussia".

PAWEŁ LEWANDOWSKI

Wiersze

najlepsze rozmowy prowadzi się nocą

zamiast krzyczeć na siebie
wolę spacerować po słowach
zgubić się we własnych zdaniach
przeczekać odpowiedni moment
odkryć cię na nowo

gdy piszesz że nie wszystko gra
to na tej planszy nieporozumień
przesunięcie figur
rzut kośćmi

jak zwykły kupon loterii życia
bo eskapady nocne
zaleje wodospad znaczeń
i odnajdę w jaskini za nim
twoje prawdziwe oblicze

zapach ze smakiem tego co było
gdzie płynie świadomość rzek
kaskady sumienia

wagon

nie będę ci opowiadał
o wszystkich naszych dawnych
niepowodzeniach

obecnie
pokroję sobie na kawałki wolność słowa
bezkompromisowych wypowiedzi

jutro z kolei
dojadę do ciebie w ostatnim wagonie
pełnym tego co nasze

chociaż już zapomniane
i zakamuflowane
w rozmowach

które się toczą
na końcu peronu

dom na peryferiach

niech wyjdzie ze mnie najgorsze
z domu bez okien i drzwi
w którym mieszkają szczury robactwo
i gdzieniegdzie mieni się poświata odtrącenia

niech wyjdzie ze mnie najbardziej podły człowiek
bliźni z każdej strony
pełen blizn
brak sumienia

niech zaświeci trochę słońca
wpuści do przestrzeni
pejzaż cząstek
wśród nich jest wiele o smaku smutku
toczących walkę o przetrwanie

gdzieś w oddali zachodzi kolejny dzień
oddalają się minuty pragnienia
wybaczcie miłości bo czasami ma zbyt wiele do powiedzenia

PAWEŁ LEWANDOWSKI (ur. w 1990 r.) – pisze poezję od 2008 roku, debiutował w czasopiśmie „VariArt". Związany z Olsztyńskim Klubem Literackim. Szczęśliwy tata pięcioletniego Cezarego.

ISHBEL SZATRAWSKA

Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia

Fragment dramatu wydanego przez Wydawnictwo Cyranka (Warszawa 2022)

Lauren Bacall
– A to?
Producent
– To? A, to nic.
Mildred
– O Boże.
Lauren Bacall
– Nic?
Mildred
– To Lauren Bacall.
Producent
– Drobiazg.
Gladys
– Ciii…
Hersh
– A to? Czy to…?
Mildred
– Tak, to Bogart.
Hersh
– O Boże.
Lauren Bacall
– Wygląda na plan filmowy. To western?
Producent
– Drugi plan. Nic wielkiego. Postaci drugoplanowe i epizodyści.
Lauren Bacall
– Rozumiem. Mogę tu sobie zapalić?
Producent
– Tak, oczywiście. Proszę, proszę usiąść.
Lauren Bacall (zaciągając się papierosem)
– Epizodyści… Dzień dobry.
Hersh
– Hersh…
Producent
– Tak, to jest nasz główny bohater. Drugiego planu oczywiście. Hersh Lipschitz.
Lauren Bacall
– Al Lipschitz?
Producent
– Hersh.
Hersh
– Libkin.
Producent
– Co?
Hersh
– Hersh Libkin.
Lauren Bacall
– Miło mi. Lauren Bacall. Pan jest homoseksualistą, Lipschitz?
Hersh
– Co?
Producent
– Libkin.
Lauren Bacall
– Libkin.
Hersh
– Ja? Nie, skąd.
Lauren Bacall
– To w sumie głupie pytanie, jesteśmy w Hollywoodzie, tutaj nikogo to nie obchodzi.
Hersh
– Ale ja nie jestem…
Lauren Bacall
– Prawda, kochanie?
Humphrey Bogart
– Nigdy nikogo nie obchodziło.
Lauren Bacall
– Georgie jest gejem.
Humphrey Bogart
– Ale nie mówi o tym głośno.
Lauren Bacall
– Och, proszę cię. To ze względu na państwo. Po co mu nieprzyjemności?
Humphrey Bogart
– To jeden z naszych najlepszych przyjaciół.
Hersh
– Ja…
Lauren Bacall
– Pan zna George'a Cukora, panie Lipschitz?
Hersh
– Libkin.
Humphrey Bogart
– Wybitny. Georgie jest wybitny.

Chwila ciszy.

Lauren Bacall
– Sami Żydzi, co?
Hersh
– S… słucham?
Lauren Bacall
– Ja to już mam za sobą. Ten cały ambaras, wie pan? (Rozgląda się po zebranych) *Co my tu mamy?*
Mildred
– Bardzo mi miło, Mildred Bobek.
Lauren Bacall
– Niech pani zmieni to nazwisko. Albo wyjdzie za mąż. Nie, że nie wierzę w to, że kobieta nie potrafi sama dojść do wszystkiego ciężką pracą, ale bądźmy

realistami. Z tym nazwiskiem kariery pani nie zrobi. To żadna złośliwość z mojej strony, żaden cynizm. Jestem realistką.

Mildred

– To znaczy ja planuję…

Lauren Bacall

– Zmienić nazwisko? Wyjść za mąż? Wszystko jedno. Niech pani zmieni to nazwisko, dobrze pani radzę. Wiem, o czym mówię, w dowodzie miałam Perske. Kto się tak w ogóle nazywa? Perske to nazwisko z jakiejś dziury pod Mińskiem, której nazwy nie wymówi przeciętny John Doe. Takie nazwisko można sobie nosić w Palestynie. Ba! W Palestynie z takim nazwiskiem można nawet zostać działaczem partyjnym, bojownikiem Hagany, ale nie w Ameryce. W Ameryce Perske śmierdzi sztetlem, rozumie pani, o co mi chodzi? Czosnkiem i ogórkami kiszonymi. Niech pani zmieni to nazwisko.

Mildred

– Wydawało mi się neutralne.

Lauren Bacall

– Nie jest neutralne. Śmierdzi sztetlem. Będą panią obsadzać w roli zmęczonych życiem żydowskich matek z Lower East Side. Zmarnuje pani ładną twarz i zgrabne nogi na gówniane role tylko z powodu nazwiska.

Humphrey Bogart

– Nie bądź brutalna, kotku.

Lauren Bacall

– Jestem brutalna, przecież wiesz. Jakbym nie była brutalna, to gdzie bym teraz była? A tak wasz producent stoi w kącie i przestępuje z nogi na nogę, a wam pocą się ręce. Przyszła. Wielka Lauren Bacall ze swoim pięknym, gojskim mężem. W prawdziwym futrze.

Mildred

– To znaczy…

Lauren Bacall

– Pan ma tatuaż na ręce.

Hersh

– Tak.

Lauren Bacall

– Pan jest interesujący.

Hersh

– Bo mam tatuaż?

Lauren Bacall

– I niegłupi. Kiedy pan przyjechał do Ameryki?

Hersh

– Rok temu.

Lauren Bacall

– I skąd pan jest? Z Mińska, z Pińska?

Hersh

– Z Łodzi.

Lauren Bacall

– Z Łodzi.

Hersh

– To w Polsce.

Lauren Bacall

– Wiem, gdzie leży Łódź.

Hersh

– Przepraszam.

Lauren Bacall

– Ładny głos. I ładne dłonie.

Humphrey Bogart

– Tylko ten akcent…

Lauren Bacall

– Jak na rok pobytu brzmi świetnie. Pan jest interesujący, panie Libkin. I ma pan ten… rys. Wie pan, o co mi chodzi? Jak już pan przetrwał wojnę, to przetrwa pan wszystko, nawet pieprzony Hollywood.

Hersh

– Mam nadzieję.

Lauren Bacall

– Ale niech pan nie będzie taki grzeczny. Grzeczni wojny nie przetrwają.

Chwila ciszy.

– Ja wiem, co panu teraz chodzi po głowie. Ale jesteśmy w stanie to przetrzymać tylko wtedy, gdy będziemy solidarni. To wizytówka z namiarami na mojego agenta. Ale chwilę, dopiszę numer do nas do domu. Może się panu przydać. Gdyby coś się działo, proszę dzwonić do mnie bezpośrednio. Jest niespokojnie, pan jest imigrantem. Sam pan rozumie, lepiej być czujnym.

Hersh

– Ale ja…

Lauren Bacall

– Pan zbladł. Jest pan interesujący, Libkin, niech pan będzie bezwzględny, to pan nie tylko przetrwasz, pan zostaniesz król Kalifornii. No dobra, kochani, pokażcie mi, w czym wy się tutaj zagrywacie?

Producent

– To jest wioska Komanczów, scenografia przedstawia…

Lauren Bacall

– Widzę, co przedstawia. Pan, tam z tyłu. Niech pan podrzuci swoją kwestię. O ile pan ma jakąś kwestię.

FRAGMENT SCENY 7

ISHBEL SZATRAWSKA (ur. 1981 r. w Olsztynie) – absolwentka teatrologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Autorka dramatów *Objects in Mirror Are Closer Than They Appear* (w e-antologii „Nasz głos", wyd. Narodowy Stary Teatr w Krakowie), *Polowanie* („Dialog" nr 4/2020), *Totentanz. Czarna noc, czarna śmierć* („Dialog" nr 2/2021), *Kateriny brak, Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia* (Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2022) oraz *Wolny strzelec* (wyd. Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie, 2022). Finalistka Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej, laureatka konkursu DRAMATOPISANIE organizowanego przez Instytut Teatralny w Warszawie. Dramat *Żywot i śmierć pana Hersha Libkina…* został wyróżniony w międzynarodowym konkursie Eurodram 2022. Mieszka w Krakowie.

EMILIA SYPNIEWSKA

Wiersze

***

To nie były ciche powroty
na głowy padał grad
zrywał kapelusze
i wietrzył myśli o jutrze
oni – skuleni w kąt
byli jak ziarnka piasku
on – ciało obce, choć najbliższe
krzyczał, a może szeptał
bo szept zostaje
jak szum morza w niej
teraz, po latach te ziarnka piasku
znalazły swój brzeg
czas wyrzeźbił wspomnienia
i siłę, która trwa
patrzę i już wiem
jak powstaje perła.

***

Stań się moim oddechem
powietrze nie może być zbyt gęste
popatrz
co robi z nim natura

***

10 groszy…
Pani poratuje…
Grunwaldzka w pełnym słońcu
promienie ogrzewają brudne twarze
i trochę czystsze serca
A jakie ładne cienie na oku
Naprawdę proszę pani
Nie poratuje?
pytanie retoryczne choć niekoniecznie
kto się tym wzbogaci niech rzuci kamieniem
jeden uśmiech i oczy
tak ciemne, że chyba pożarły
cały mrok tego miasta
długo patrzyłam gdy odchodziła
jej cień żegnał się niepostrzeżenie
jak każdego dnia o tej porze
niedokończona rozmowa
dokończony dzień
w którym nie ma już nic
tylko parę groszy na resztę życia
które przeszło obok

***

Zostanę twoją filiżanką
z której spijesz swój francuski sen
mała czarna małe nic
uśniesz…
lecz pamiętaj
że kruche szkło w dłoniach pęka

Wyobraźnia

Dziewczynka bez butów
skradła blask gwiazdy
podzieliła na pół
pełnię księżyca
pomnażając pełnię świata
„głupia, uciekasz!" –
zadrwił chłopiec w pantofelkach
lecz coś co ratuje nie może być złe
jej ziarnka grochu
stały się diamentami

Sierpniu…

Zanim puścisz oczko
do tej złotowłosej
w czerwonej sukience
zanim uwiedzie cię
noc ciemna długa
daj proszę
jeszcze jeden jasny wieczór

Prababcia

To naturalne, że odeszła
pozostawiła błysk w oku
i wieczorną modlitwę
majowe dni są piękne
nawet do pożegnań
minął czas…
nic się nie zmieniło
przytula tak samo

to na pewno przez wieczorne wino
płakałam przez sen

EMILIA SYPNIEWSKA (ur. w 1997 r.) – absolwentka UWM w Olsztynie, z zawodu logopeda. Z pasji poetka i fotograf amator. Inspiruje ją natura oraz życie, które traktuje jako drogę. Jest to jej debiut w prasie drukowanej.

Koledzy z Warmii

Silni. Uparci. Zdecydowani. Inteligentni. Ich praca w dziedzinie nauki, sztuki nie pozostawia wątpliwości co do wybitnych zdolności. Błękitny Kopernik i Dowcipny Krasicki.

Nic innego mi nie pozostało, jak malować chłopaków na płótnie czy papierze bawełnianym. Czytać ich i zamieniać w kolor. Czytać i upowszechniać dzieła naszych przodków z Warmii. Zapraszać i wciągać Kopernika i Krasickiego do gry malarskiej. Czyż to nie doskonały towar i w dodatku nie trzeba go reklamować! Wciąż są na pierwszych stronach gazet. Dlaczego?!

Bo… istnieją ludzie, którzy żyją wiecznie. Istnieją ludzie, którzy porywają tłumy. Porywają artystów i umysły do działania. Ci ponadczasowi geniusze i ich dzieła są czytelne na całej kuli ziemskiej. Mobilizują nieustannie do lepszego patrzenia na świat, podkreślają rzeczy niecodzienne, ale równie ważne, istotne. Żyją i inspirują, chociaż od setek lat nie ma ich między nami. Ich język ma ogromną moc sprawczą, mimo upływających stuleci.

Jak to robił satyryczny Krasicki, że patrzył na ludzi z wielką mądrością, a w miejsce moralizatorstwa, posilał się poczuciem humoru i groteską: „I śmiech może być nauką, kiedy się z przywar, nie osób natrąca".

Jak to robił Kopernik, bezkompromisowy człowiek Renesansu w imię umiłowania prawdy?

Agnieszka Markowicz

„Atakowana informacjami, sensacją i chaosem, szukam wskazówek i znaków. Symbolika Agnieszki Markowicz pozwala mi poukładać myśli. Jak w zodiakalnych wróżbach, każdy szczegół jej kolorowych obrazów, instalacji politycznych i grafik jest skrupulatnie przemyślaną koncepcją. Ta natomiast składa się na nieprzestająca wołać wieloma językami litanię o kondycji naszej planety. Często przyglądam się wnikliwie jej Krasickiemu w krynolinie rozpostartym jak waszyngtoński Lincoln na fotelu, ilustrującym mnie, kobietę nową XXI wieku. Zastanawia mnie, jaką sarkastyczną fraszkę chce nam przedstawić. To znów prowadzę sprzeczkę z Kopernikiem i jego gwiazdami, doszukując się w geniuszu pierwiastka kobiecego. Tylko czy aby na pewno rzeczywiście uda nam się rozlać nasz ziemski bałagan na dopiero co odkryte, dziewicze planety kosmosu, pyta w swej twórczości Markowicz. Czy może rozsądniej byłoby choć raz być Polakiem-człowiekiem mądrym przed szkodą? No właśnie."

Agnieszka Sarrafian, poetka, performerka. Na co dzień aktorka w „Teatr Nasz" z Chicago.

AGNIESZKA MARKOWICZ (ur. w 1977 r. na Warmii) – malarka, ilustratorka, projektantka, autorka instalacji artystycznych.

Ukończyła studia na Wydziale Sztuki UWM w Olsztynie. Uzyskała dyplom w Pracowni Projektowania Artystycznego prof. Stanisława Trzeszczkowskiego w 2004 r. Brała udział w licznych wystawach krajowych i zagranicznych, zarówno indywidualnych jak i zbiorowych w Polsce, Turcji, Litwie, USA oraz Egipcie i Jordanii (wystawy wirtualne).

W 2018 r. otrzymała medal „Piątka dla Kultury". Rok później została stypendystką Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego w dziedzinie sztuk wizualnych. Wydała album związany z holokaustem „Papa can you hear me?" w oprawie literackiej Ewy Klajman-Gomolińskiej. Uhonorowana tytułem „Talent Roku 2020", a w 2021 r. w imieniu społeczności i miasta Gminy Barczewo „Aniołem Sukcesu" w Kategorii Kultura. Została Laureatką „Złotej dziesiątki" kobiet sukcesu Warmii i Mazur 2022, za promowanie kultury i dbanie o dziedzictwo warmińskie.

Prace Markowicz ukazują się w tygodniku „Jordan's Independence" wydawanym przez Cezar Union for Arts and Literature Read Al-Amari pod patronatem Jego Królewskiej Mości Króla Abdullaha II. Artystka posiada złotą kartę członkostwa Międzynarodowego Stowarzyszenia Sztuk Pięknych w Nilu.

Obecnie realizuje projekt pt. „550 rocznica urodzin kanclerza kapituły warmińskiej. Przyjęcie urodzinowe Kopernika" w ramach Stypendium Twórczego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie sztuk wizualnych.

AGNIESZKA MARKOWICZ

Koledzy z Warmii

I am good Krasicki, 2021

Malarze, 2022

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Olsztyńskie „ikony” – URANIA

Ze snu przenosimy się na jawę. Olsztyńską architekturę czasami można opisać, wyśpiewać, wynaturzyć i przepoczwarzyć. Zróbmy to!

Mam imię po najpoważniejszej i najbardziej zamyślonej z sióstr – po tej z oczami wiecznie wzniesionymi ku górze, bynajmniej nie w modlitwie. Imię mam greckie. Moje imię czci boga nieba Uranosa, choć wznieśli mnie i niedawno rozbili mieszkańcy Ziemi.
Byłam kulą.
Byłam sferą niebieską.
Byłam Ziemią z Biegunem Północnym.
Byłam piłką z dźwiękiem trąbki wokoło.
Byłam pajetą na sukni tancerki.
Byłam okiem – rybim, białym na tle zielonego terenu.
Byłam bryłą śniegu w środku lata.
Byłam sypialnią dla mew.
Byłam guzikiem naciskanym przez palec nieba.
Byłam czapką z otokiem z betonowego futra.
Byłam kryształem cukru – gładkim, łamanym, nieciosanym.
Byłam perłą.
Byłam jeziorem ze szkła.
Jestem koloseum.
Jestem akweduktem.
Jestem kołem roztańczonych ramion w greckim tańcu.
Nade mną rosną łuki, pną się jak grube, sztywne pnącza łoziny, będące początkiem koszyka. Skłaniają się ze mnie ku mnie nieruchome gałęzie betonowych drzew bezlistnych. Rosną we mnie wyciągające się ku sobie ramiona okaleczonych ośmiornic.
Czy ktoś wie, czym będę...?
Boję się

Anna Rau

Fot. Marcin Jermolonek, Właśnie Olsztyn

Panem et circenses

Chleba i igrzysk, wołali Rzymianie. Nic się do dziś nie zmieniło, ciągle potrzeba nam rozrywki i strawy. No, może budowle krócej wytrzymują, ale i budulec gorszy. Rzymskie Koloseum służyło igrzyskom blisko 450 lat, olsztyńska Urania już przed pięćdziesiątką wymagała generalnego remontu. Podczas modernizacji prawie przestała istnieć, gdyż zawalił się jej dach. Przez moment wyglądała jak kamienny krąg w Stonehenge. Po usunięciu zwaliska kopuły zostały same filary konstrukcyjne połączone żelbetonowym kręgiem.

Hala widowiskowo-sportowa powstała – jak wiele inwestycji w Olsztynie – przy okazji planowanych Centralnych Dożynek. Oddano ją do użytku 1 września 1978 r. – tuż przed imprezą, dla której zmieniło się chyba pół miasta.

Jej charakterystyczny, kosmiczny kształt pasował do stojącego nieopodal planetarium i wpisywał się w panujący trend lądujących w różnych miastach spodków. Strome schody widowni przyprawiały o zawrót głowy, a kotara przysłaniająca cześć trybun oszałamiała wielkością. Taka była w czasach swej świetności.

Odbywały się tu ważne mecze, koncerty, turnieje, wystawy. Potem straciła trochę na powadze i sprzedawano w niej mydło i powidło.

Czasowe zamknięcie może się przedłużyć, ale nie za długo, bo igrzysk potrzebujemy prawie tak samo jak chleba.

Iwona Bolińska-Walendzik

MARTA CHYŁA-JANICKA

Tylko dla twoich dwojga oczu, czyli misja scenarzysty w stereoskopowej animacji lalkowej

Nie wiem, jak wasze oczy, ale moje są z przodu mojej głowy. Mam nadzieję, że macie podobnie; ja chwalę ten stan rzeczy. Wiele mi to ułatwia. Mam zdjęcie do dowodu osobistego, na którym widać mi dwoje oczu, gdyby moje oczy były po bokach głowy, musiałabym płacić za dwa zdjęcia. Budowę tego rodzaju odczytuję też metaforycznie – mam oczy ustawione na wprost, czyli mam wyglądać tego, co będzie. To, co za mną, jest niewidoczne, a więc nie powinno mnie interesować. Polecam takie nastawienie.

Nie wiem, jak wasze oczy, ale ja mam niebieskie.

Nie wiem, jak wasza pani od plastyki, ale moja zaczęła lekcje od teorii widzenia i budowy oka. Całkiem możliwe, że zaczęła od wypisania na tablicy cytatu: „Życie jest w kolorze, który ma twoja wyobraźnia". Potem przeszła do teorii widzenia. Jeśli mieliście inną panią, już wam streszczam braki:

Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.
Co oko widzi, to głowa dorozumie.
Źdźbło w oku bliźniego widzisz, a belki w swoim nie dostrzegasz.

Pamiętam dokładnie ten dzień. Dzień, w którym wszystkie te przysłowia nabrały sensu. Kupowałam właśnie cebulki czarnych tulipanów na targu w Amsterdamie. Wąsaty jegomość w garniturze ostro wyhamował motorówką i ochlapał całe stoisko, nie zwracając uwagi na to, że kanał jest dość wąski.
– Wiem, że kanał jest dość wąski, ale chcę zrobić odpowiednie wrażenie – powiedział wąsacz, stając na suchym lądzie.
– Jeśli o mnie chodzi, mnie to nie imponuje – odparłam i zaczęłam wkładać cebulki do torby.
– Masz zadanie – rzekł, poprawiając mankiety.
– Zbieram właśnie materiał dowodowy, daj mi spokój – żachnęłam się, a wąsacz wyciągnął Walthera P99 i, patrząc na mnie, wpakował kulkę w sprzedawcę.
– Co ty zrobiłeś, nie wydał mi reszty! – wrzasnęłam, po czym automatycznie złapałam mały pakunek wyrzucony z odpływającego jachtu. Papier pakowy najgorszej jakości – to nie wróżyło nic dobrego.
W środku list:

Szanowna Pani Marto,
robimy film S3D. Unikalna rzecz na skalę światową.
Script doctoring?
Z poważaniem (tu rozmazana od łez nazwa zleceniodawcy)

Film S3D? Za kogo oni mnie mają? Byłam tą osobą, która na „Avatarze" nie mogła doświadczyć trójwymiarowości, bo bolała ją głowa. Chyba znów ktoś chce mnie wysłać na misję samobójczą. Wchodzę w to. To nie było moje pierwsze zlecenie tego typu. Bardzo cenię tę pracę, obfituje w możliwości pogrzebania nadziei zleceniodawców na zawsze.

Dobrze wiedziałam, co się święci; czytałam „Podróż bohatera" Josepha Campbella – to typowe i aż nadto czytelne wezwanie do przygody. W kolejnym kroku będę stawiała opór, że nie chcę podjąć wyzwania, ale pojawi się mędrzec, który odpowiednio mnie nakieruje, bym wypełniła swoje przeznaczenie. Kaszka z mleczkiem. Odpisałam:

Drodzy państwo (tu zmusiłam się do łez, żeby rozmazać ich godność; wystarczyło wspomnieć
ostatni podatek dochodowy),
dziękuję za wytypowanie mojej osoby do Państwa misji.
PS Co to S3D? Nie ma tego terminu w polskim Internecie, co oznacza, że rzeczywiście to jest rzecz unikalna.
Z uszanowaniem,
M.

Hamujący pikap wzmógł kurz na wysokości głowy Lionela Messiego.

– Wiesz, ile tu kosztuje pralnia?! – wrzasnęłam.
– Wsiadaj, pokażę ci małe kotki – usłyszałam i od razu wsiadłam; to tajne hasło ludzi filmu, zwiastun ciekawej przygody.
– S3D to inaczej Stereoscopic 3D – powiedział kierowca. – Lubisz eksperymentalne projekty badawcze?
– Tylko takie.

Fot. z archiwum Marty Chyły-Janickiej

Dojechaliśmy do Szkoły Filmowej w Łodzi. Napis na drzwiach „proszę nie przeszkadzać w zdjęciach" dotknął mojej czułej struny; lubię, jak ktoś jasno określa swoje granice, więc od razu tam wparowałam, żeby poznać tych niesamowitych ludzi.

Agenci pracujący przy projekcie w Pracowni S3D vnLab mieli wysokiej klasy komputery, konsolety z pokrętłami, duży czerwony przycisk z napisem „emergency stop" (szkoda, że nie znam angielskiego; w razie wypadku bym go wciskała). Szczególne wrażenie zrobił wielki robot, jeden z ośmiu na całym świecie, z ramieniem na kształt dźwigu, które uzbrojono w aparat z obiektywem wycelowanym w lalkę animacyjną.

Zespół projektowy jest złożony z profesjonalistów. Kiedy myślę o zespole, zawsze zastanawiam się, czy jest w nim dynamika grupy jak u żółwi ninja albo w Brygadzie RR. Zawsze musi być jakiś Donatello albo mysz Gadżet – postać odpowiedzialna za wynalazki, sprzęty i wyposażenie. Powinien być także ktoś, kto jest dobrym, charyzmatycznym przewodnikiem, wskazuje kierunek, czyli ktoś taki jak żółw Leonardo lub wiewiórka Chip. Sądząc po bogactwie sprzętów i technikaliów, zespół vnLab swojego Donatella ma. Kierunek działań też był dawno wyznaczony, a delikatne zmiany azymutu działają tylko na korzyść projektu, więc Leonardo na pewno jest wśród nas, może i nawet nie jeden. W każdym zespole powinien być śmieszek regulujący napięcia, jak Dale lub Michelangelo. Pojęcia nie mam, kto by nim mógł być w zespole Pracowni S3D vnLab Laboratorium Narracji Wizualnych.

Zlecenie było wymagające – pisząc scenariusz, miałam wziąć pod uwagę nie tylko kwestie artystyczne, ale również techniczne.
– Badamy potencjał artystyczny stereoskopii w filmie lalkowym – powiedziała kierowniczka produkcji na Seminarium Wizualnym 17 września 2021.

Dostałam zalecenia, że w filmie muszą wystąpić specyficzne ujęcia w technice stereoskopii, działające na ludzką percepcję. Musiałam pamiętać o łączeniu zdjęć stop-motion z wirtualną scenografią, stosowaniu niestandardowej optyki oraz filtrów zniekształcających.
W pracowni złotymi literami było wyżłobione na ścianie: „Celem zadania jest wypracowanie standardów pracy z techniką zdjęć stereoskopowych w realizacjach stop-motion oraz dostosowanie ich do potrzeb narracji dramaturgicznej w utworach filmowych oraz poszerzenie możliwości ekspresji wizualnej w dziełach S3D".

Kiedy pracuję nad scenariuszem, z najwyższą precyzją rozkładam ładunki emocjonalne. Muszę uważać, żeby najdrobniejsza decyzja nie doprowadziła do eksplozji. Czasami chodzę po gruzach dawnych cywilizacji, by cegła po cegle, słowo za słowem, budować scenariusz na nowo, wsłuchując się w potrzeby zleceniodawców, jednocześnie dokładając coś od siebie. Podobnie było i tym razem – zbudowaliśmy intymny świat lalkowego bohatera, Jana. Nasz bohater w wyniku zderzania się naszych koncepcji mierzy się z poszukiwaniem rozwiązania w zaskakujących go okolicznościach. Dobrze, że to film lalkowy, żyjący aktor by tego nie wytrzymał.

Czy wytwory sztuki stereoskopii można zamknąć w gablocie muzealnej obok zabawek optycznych z początku minionego wieku, czy jednak jest w niej coś, nad czym można się pochylić? Czy 3D umarło, więc trzeba je zamknąć w urnę i pogrzebać? Ja widzę w niej wydźwięk symboliczny, możliwość poszerzenia percepcji. Artyści wchodzący na drogę stereoskopii to poszukiwacze kolejnego wymiaru, pionierzy mający potrzebę opowiadania historii obrazem, który oddaje przestrzeń i relacje w niej w wyjątkowy sposób. Stereograferzy mogą decydować o głębi sceny i funkcjonowaniu obiektów w przestrzeni – twórcza kontrola nad obrazem jest tu na tyle precyzyjna, że następnym poziomem jest już chyba tylko fotografowanie snów.

Fot. z archiwum Marty Chyły-Janickiej

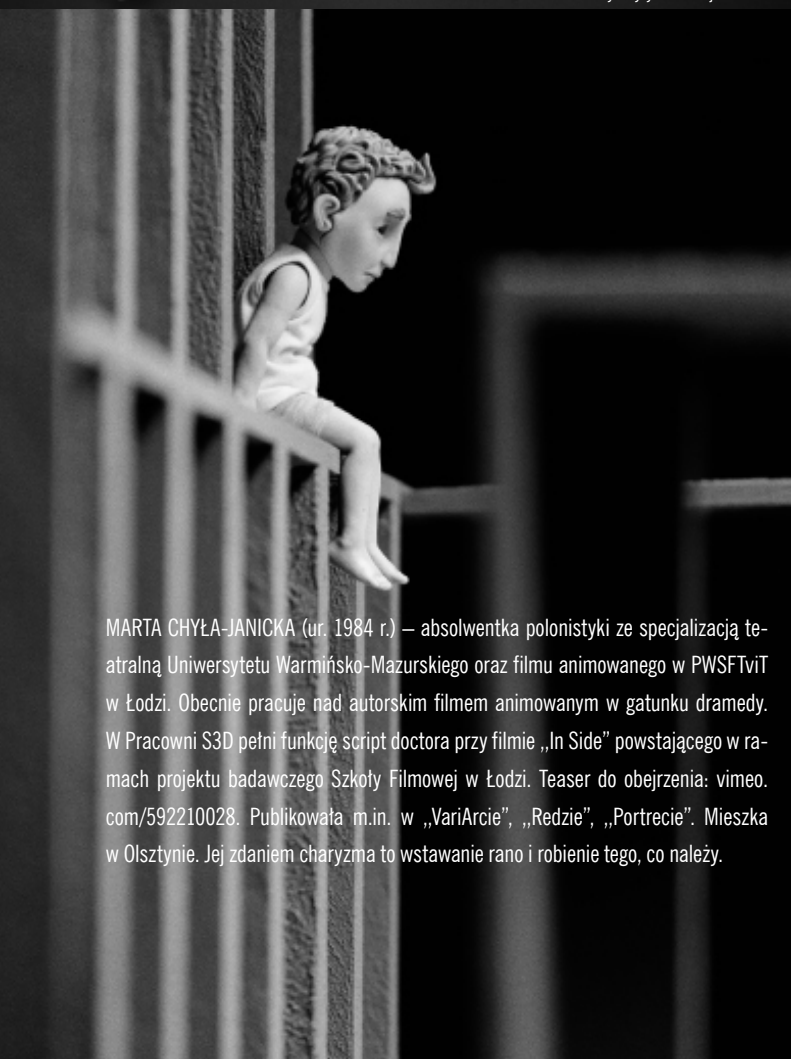

MARTA CHYŁA-JANICKA (ur. 1984 r.) – absolwentka polonistyki ze specjalizacją teatralną Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego oraz filmu animowanego w PWSFTviT w Łodzi. Obecnie pracuje nad autorskim filmem animowanym w gatunku dramedy. W Pracowni S3D pełni funkcję script doctora przy filmie „In Side" powstającego w ramach projektu badawczego Szkoły Filmowej w Łodzi. Teaser do obejrzenia: vimeo.com/592210028. Publikowała m.in. w „VariArcie", „Redzie", „Portrecie". Mieszka w Olsztynie. Jej zdaniem charyzma to wstawanie rano i robienie tego, co należy.

Kiedy piszę ten tekst, zdjęcia do filmu „In Side" są już nakręcone w połowie. Powstał zwiastun filmu, który ma już około tysiąc odsłon na VIMEO. Gdy wreszcie wyjdzie film „Avatar 2", może zacznę widzieć głębię. Może badania vnLab naprowadzą twórców na to, by precyzyjnie określić – dzięki kontroli głębi – punkt w przestrzeni, na który będzie patrzył widz.

Kiedy piszę ten tekst, w innym wymiarze powstaje pretensjonalna proza poetycka, uzupełniająca w fantastyczny sposób nasze działania (autor nieznany):

„Pamiętam dobrze jego kształt.
Pamiętam jego kolor.
Mogłabym przysiąc, że był inaczej ulokowany w przestrzeni.
Był dalej.
Zaraz, może bliżej.
Głębia sceny była wyraźna.

Jeden Jan stoi tam.
Drugi Jan stoi owam.
Obydwa obrazy są podobne, różnią się kątem widzenia. Widzę dzięki nim więcej. Jednocześnie te obrazy przesłaniają się i walczą o moją uwagę.

Obrazek czerwony.
Obrazek niebieski.
Oko prawe widzi niebo.
Oko lewe widzi krew.

Kiedy zamknę lewe oko, widzę niebo, jezioro, oczy dziewczyny.
Kiedy zamknę lewo oko, widzę krew, serce, oskórowane jagnię, Czerwonych Khmerów.
Tak, wiem, powinnam pozwać mojego architekta wnętrz".

Może i część tego tekstu to fikcja literacka. Może dzięki licentia poetica ukrywam, że praca nad scenariuszem nie jest filmem akcji, bo trudno akcją nazwać siedzenie za biurkiem i klikanie w klawiaturę (pozdrawiam Sławomira Mrożka). Chciałabym w tym miejscu nadmienić, że większość wydarzeń z tego tekstu miała miejsce. Ten tekst jest trochę jak ujęcie filmu stereoskopowego – potrzeba dwóch zdjęć, do prawego i lewego oka, żeby wyszedł efekt końcowy. W przypadku tego tekstu potrzebowałam trochę fikcji i trochę prawdy, żeby opowiedzieć prawdę.

MAŁGORZATA OLEJNIK

Pasja czy charyzma, czyli opowieść o Leśniczówce Gaja

Robię to, do czego mam talent, co ogromnie lubię i co jest moją pasją, a czy jest w tym charyzma? Trudno samemu to stwierdzić. Czy robiąc rzeczy, do których jesteśmy stworzeni, stajemy się osobami charyzmatycznymi? Gdy zostałam poproszona o napisanie tekstu o sobie jako charyzmatycznej przedsiębiorczyni, zaskoczyło mnie to. Jedyne, co mogę powiedzieć o sobie i o tym, czym się zajmuję, to że jest to moja ogromna, życiowa pasja.

Od momentu, gdy w wieku 52 lat wyjechałam z Olsztyna do Peru, czuję, jakby moje życie wjechało na właściwe tory. Wszystko, co robię, sprawia mi ogromną radość, chociaż jest to nieraz bardzo ciężka praca. W Peru miałam zostać do końca życia. Po czterech latach spędzonych w dawnym kraju Inków dowiedziałam się, że w Kabornie na Warmii jest do kupienia piękny stary dom z 1840 roku. To dawne gospodarstwo rolne, które później stało się leśniczówką. Budynek był własnością pary, która chciała otworzyć tu pensjonat. Wyjechali jednak do Stanów i kupiłam ten dom.

Jego usytuowanie na skraju lasu z rozległym widokiem na okoliczne łąki i brak sąsiadów spowodowały, że zapragnęłam stworzyć tu ośrodek warsztatowy w formie gospodarstwa agroturystycznego. Nazwałam go Leśniczówka Gaja – od Matki Ziemi. W Peru doświadczyłam bliskości dzikiej przyrody i w Kabornie mam zielony, dziki świat wokół siebie. Tu też realizuję kolejną pasję, jaką jest gotowanie i kreowanie potraw wegańskich i wegetariańskich.

Do Leśniczówki Gaja przyjeżdżają osoby, które, podobnie jak ja, szanują naturę, tu odpoczywają, prowadzą warsztaty lub biorą w nich udział. Lubią pracować w otoczeniu lasów, przy śpiewie ptaków i wśród głosów jeleni, saren, lisów… Nie postawiłam nawet ogrodzeń wokół siedliska, aby rośliny i zwierzęta mogły swobodnie żyć i poruszać się po naszym terenie.

Miałam szczęście gościć u siebie takich malarzy jak Anastazja Fietisowa czy Maciej Podsiadło, którzy pozostawili swoje dzieła we wnętrzach Leśniczówki, budując jej klimat.

Dobrą energię i atmosferę do pracy znajdują tu terapeuci, nauczyciele jogi, tai chi oraz inni prowadzący warsztaty rozwoju osobistego. Są też zachwyceni naszymi potrawami. Pewien hinduski nauczyciel twierdzi, że nasze posiłki… leczą. Tego nie wiem, ale prawdą jest, że nasza kuchnia stała się powodem przyjazdu wielu osób. Tak wielu, że mamy kalendarz rezerwacji zajęty do końca przyszłego roku.

Peru to – po Leśniczówce Gaja – moja druga miłość i wracam tam co roku, organizując wyprawy. Nigdy nie mam problemu z chętnymi do wyjazdu, ponieważ ci, którym opowiadam o tym kraju, rozumieją, że to miejsce niezwykłe i może zafascynować każdego.

Czy robiąc rzeczy, do których jesteśmy stworzeni, stajemy się osobami charyzmatycznymi?

Zostawiam to pytanie otwarte, aby każdy sam sobie odpowiedział.

Małgorzata Olejnik, Gaja to moja druga miłość, fot. Beata Brokowska

MAŁGORZATA OLEJNIK – właścicielka gospodarstwa agroturystycznego Leśniczówka Gaja w Kabornie na Warmii. Od urodzenia związana z Olsztynem, absolwentka ART, miłośniczka podróży i kuchni.

BEATA BROKOWSKA

Bajka, o której nie da się zapomnieć

Jej rzeźby stoją w parkach, na ulicach Olsztyna, w galerii w Kortowie oraz w kilku miastach regionu, ale ich autorka została zapomniana. Przypominam dzieła i biografię niezwykłej, charyzmatycznej rzeźbiarki Balbiny Świtycz-Widackiej. W tym roku mija 50 lat od śmierci artystki.

C

JAK CHARYZMA

Charyzma to poczucie pewności siebie, które nie przytłacza ludzi, ale umożliwia nawiązywanie dobrych relacji z innymi – to jedna z definicji charyzmy. I pasuje do Balbiny Świtycz-Widackiej (1901-1972), która zamieszkała w Olsztynie w 1954 roku. Rzeźbiarkę pchała do pracy i życia jakaś siła, może było to poczucie pewności, że jest dobra w tym, co robi, bo na rzeźbiarstwie znała się najlepiej?

Można przywołać również jej dobre relacje z ludźmi, bo wszędzie, gdzie się pojawiła, zyskiwała przyjaciół. Na studiach w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, które zaczęła w 1924 roku, w prof. Konstantym Laszczce znalazła opiekuna artystycznego, promotora i mistrza. Gdy w 1939 roku zaproponowała wdowie po marszałku, Aleksandrze Piłsudskiej, wykonanie jej popiersia, dostała zgodę. Z kolei w Olsztynie, gdzie zamieszkała w czasach powojennych, szczerze polubiły się z Marią Zientarą-Malewską – poleska artystka z warmińską poetką.

Gdy prof. Tadeusz Kotarbiński nie miał czasu na pozowanie, Balbina zapytała go wprost: „Czy pan, który jest apostołem dobrej roboty, pozwoli mi, abym zrobiła kicz?". Argumenty podziałały – filozof znalazł czas na „dobrą robotę".

H

JAK HART DUCHA

Czy gdyby nie siła charakteru, zniosłaby wszystkie przeciwności losu, jakie ją spotkały? Balbina Świtycz, urodzona w 1901 roku w Mohylewie nad Dnieprem (obecna Białoruś), szybko straciła rodziców i rodzeństwo. Gdy dziewczynka miała 3 lata, wybuchła epidemia szkarlatyny. Córka pani Balbiny opowiadała mi, że ojciec – lekarz – zaraził swoje córki, które wkrótce zmarły. Pod wpływem rozpaczy doznał zawału serca, zmarł. Potem przy porodzie odeszli matka Balbiny i niemowlę. Z całej rodziny przeżyła tylko przyszła rzeźbiarka, bo mieszkała wówczas u babci w Woroneżu.

Bajka – tak nazywali rodzice małą Balbinę, a ojciec nawet pieszczotliwie Bajeczką – w tej tragedii miała szczęście, bo zajęli się nią krewni: Józef Witkowski, który był lekarzem, i jego córka Stanisława, nauczycielka francuskiego i rysunku. Zamieszkali z Bajeczką we własnym domu w Kobryniu. Po skończeniu gimnazjum 23-letnia Balbina studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zaczął się dla niej szczęśliwy czas, świetnie zakończone studia, nagrody, powrót do Kobrynia, praca w gimnazjum, rzeźbienie, mąż, na świat przyszło dwoje dzieci. I wybuchła wojna.

Rzeźbiarka po wojnie opuściła z rodziną ukochane Polesie. Szukając swojego miejsca w nowej Polsce, przeżyła tułaczkę: Wyrzysk na Pomorzu, Brodnica. W 1949 roku została wdową, miała dwie nastoletnie córki. W każdym miejscu, gdzie się zadomowiła, rzeźbiła, szukała zamówień, nie poddawała się. W Brodnicy pracowała społecznie, pisała cały czas wiersze, bo była także poetką. Gdy zamieszkała w Olsztynie w 1954 roku, poznała Warmiaków i utrwaliła portrety wielu historycznych postaci.

Jeździła do Warszawy, by rzeźbić ówczesnych celebrytów. Znów pokazała swoją charyzmę, bo jej, olsztyńskiej artystce, żyjącej z dala od głównego artystycznego nurtu, nie odmawiali znani artyści, pisarze, naukowcy: Ćwiklińska, Barszczewska, Iwaszkiewicz, Zawieyski, Lorentz, Tatarkiewicz, Kotarbiński.

A

JAK *AMOR NA CZATACH*

Rzeźba pod tym tytułem z lat 60. stoi w parku nad Łyną. Pierwowzorem postaci chłopca był wnuk Kamil Solarski. Świtycz-Widacka była wszechstronną artystką, rzeźbiła od „amora do profesora". I tu też widać jej charyzmę, czyli obecność, moc i energię (Olivia Fox Cabane, „Mit charyzmy"). Nie była przywiązana do wielkich postaci, ale z polotem umiała pokazać także przewrotnego chłopca, który z uśmiechem szykuje się do strzału.

A „profesorów" rzeźbiła, po mistrzowsku oddając ich podobieństwo, zarówno fizyczne, jak też nastrój i ducha. Oglądający bez trudu rozpoznają twarze postaci z pierwszych stron gazet z lat 60. i 70. Ten talent w oddawaniu rysów i cech charakterystycznych widać też w twarzach znanych mieszkańców Warmii i Mazur: Michała Lengowskiego, Marii Zientary-Malewskiej, Władysława Gębika, Feliksa Nowowiejskiego czy Wandy Pieniężnej.

R

JAK REKORDZISTKA

Była autorką około 1000 rzeźb, jak policzyła jej córka Jowita Solarska. Wiele powstało przed wojną i wiele z nich zaginęło. Poleszczuczka z dzieckiem, którą wyrzeźbiła na zamówienie społeczności Polesia w 1935 roku, trafiła do marszałka Piłsudskiego. Obecnie znajduje się w zbiorach Królikarni Muzeum Narodowego im. Xawerego Dunikowskiego w Warszawie. W czasie wojny na zamówienie przedstawicieli muzeów rosyjskich wyrzeźbiła głowy Chopina, Beethovena... Nie wiadomo, co się z nimi stało.

W Olsztynie znajduje się sporo jej prac. Można je znaleźć np. w centrum miasta. W parku Podzamcze stoją jej trzy rzeźby: *Wiosna*, *Fontanna Ryba z dzieckiem*, *Amor na czatach*, w filharmonii – Feliks Nowowiejski, przed I LO – Adam Mickiewicz, a kilkanaście – w zapomnianej galerii w Kortowie przy Placu Łódzkim. Była rekordzistką, ale jako kronikarka i artystka pół wieku po śmierci została zapomniana.

„Charyzma to przekazywanie innym pełni pasji i namiętności. Wystarczy, że zdobędziesz określone umiejętności i zyskasz odpowiednie cechy, by twoje życie zmieniło się diametralnie" – pisze Kurt W. Mortensen w „Prawach charyzmy". Taka była Balbina Świtycz-Widacka. Gdyby nie jej nieprawdopodobna zdolność do przystosowywania się do nowej sytuacji i umiejętność przekonania o swoim talencie, czy udałoby się jej wykonać tak wiele prac? Zostawić po sobie tyle pamiątek, których – niestety – obecnie nikt nie chroni, nie konserwuje.

Y

JAK YouTube

Rzeźbiarka miała niesłychaną łatwość pisania wierszy. Nie wydała jednak tomiku, jej utwory są rozproszone w różnych zbiorach. Szczególnie jeden „Mazurski wiatr całuje fale jezior" stał się popularny jako piosenka. Na kanale YouYube można znaleźć wykonanie tego utworu przez zespół Sami Swoi z Mrągowa z wokalistką Ireną Gałązką z roku 1969 w tak modnym wtedy stylu big-beatowym.

Z

JAK ZAPOMNIANA

Jest zapomniana w Olsztynie i w regionie, gdzie też stoją jej rzeźby: w Ełku – Michała Kajki, w Rucianem-Nidzie – Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, natomiast nie ma już popiersia Henryka Sienkiewicza jej dłuta w Bisztynku, zostało zniszczone. W Olsztynie jej rzeźby są anonimowe, bez tabliczek. Ostatnią, dużą wystawę w stolicy województwa warmińsko-mazurskiego miała 10 lat po śmierci, w 1982 roku w Biurze Wystaw Artystycznych. Wówczas głowy znanych postaci obejrzało 3785 zwiedzających, jak wynika z zachowanego sprawozdania, a portrety zostały wypożyczone z różnych instytucji i prywatnych kolekcji. W 25. rocznicę śmierci staraniem Jowity Solarskiej, dzięki wsparciu rektora ówczesnej ART, w Kortowie została otwarta galeria rzeźb Balbiny.

Jak wydobyć artystkę z niepamięci? Zapytałam o to m.in. uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Olsztynie. Młodzi ludzi mają fantastyczne pomysły. Zaproponowali m.in. autorską interpretację jej rzeźb w ich wykonaniu. Choć nieliczni znali jej nazwisko, znają rzeźby, bo mijają je w przestrzeni miejskiej Olsztyna. Dlatego też mówią, że konieczne są tabliczki z nazwiskiem rzeźbiarki.

Historyczka sztuki Grażyna Prusińska proponuje spacery popularyzujące twórczość artystów związanych z Olsztynem oraz podsuwa koncepcję stworzenia mu-

Rzeźbiarka przy pracy nad popiersiem Władysława Gębika, fot. archiwum prywatne.

Rzeźba rybaczka z dzieckiem Balbiny Świtycz-Widackiej w Parku Podzamcze, lata 60., fot. Beata Brokowska

zeum miasta, które umożliwiałoby ekspozycję dzieł olsztyńskich twórców, w tym Balbiny Świtycz-Widackiej. Łukasz Samotyha, absolwent olsztyńskiego liceum plastycznego, student wydziału rzeźby Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu uważa, że można byłoby prace artystki pokazywać w formie dużych plakatów w witrynach przystanków tramwajowych i autobusowych. Tomasz Śrutkowski, dziennikarz i olsztyński wydawca, podkreśla, że niezbędne jest znalezienie dobrego, położonego w centrum Olsztyna, miejsca na ekspozycję udanych historycznych popiersi. Historyk Tadeusz Baryła postuluje: konieczne jest stworzenie funduszu na rzecz odnowienia i opracowania wszystkich prac Balbiny Świtycz-Widackiej, bo ile znanych rzeźbiarek miały Warmia i Mazury?

M

JAK MAMUSIA

Tak o niej zawsze mówiła córka Jowita Solarska. Pani Jowity nie można pominąć, mówiąc i pisząc o rzeźbiarce. Dbała o jej pamięć, doprowadziła do zorganizowania galerii w Kortowie, upominała się o jej wystawy. Spotykałam się z panią Jowitą wielokrotnie i to ona była dla mnie źródłem wiedzy o rzeźbiarce. A że życie z matką artystką było barwne, pani Jowita ma mnóstwo wspomnień. Dla niej była nie tylko mamusią, ale i charyzmatyczną rzeźbiarką, „szybką jak piorun z błyskawicą", której pomagała mieszać zaprawy do rzeźb i jak mówiła: „przeszłam przy niej prawie kurs czeladniczy".

Balbina Świtycz-Widacka od 1954 r. mieszkała w Kortowie, zmarła na zawał serca 28 lipca 1972 r. Została pochowana w Brodnicy, gdzie spoczywa jej mąż.

A

JAK ARTYSTKA

Na co dzień elegancka, chodziła w rękawiczkach, paliła papierosy przez lufkę. Przy pracy z kolei w fartuchu, skupiona, z dłutem przy swoich dziełach. Gdy tylko mogła, rzeźbiła z natury, umawiała się z modelami na sesje, w ostateczności pracowała na podstawie fotografii. „Obsesyjnie interesuje ją głowa i twarz ludzka ze wszystkimi subtelnościami, składającymi się na jej wyraz i charakter" – pisała o stylu Balbiny Świtycz-Widackiej w lipcu 1967 roku Cecylia Vetulani, historyczka sztuki, malarka, kustosz Muzeum Mazurskiego w Olsztynie.

Trzy lata po śmierci Balbiny Świtycz-Widackiej przyjaciółka Maria Kulczyńska pisała: „Niech Olsztyn pamięta o swej artystce, która pozostawiła wiele swych dzieł w tym mieście". Pół wieku po śmierci rzeźbiarka ma swoją ulicę w Olsztynie na Pieczewie, upamiętniają ją dwie tablice, a obecnie w muzeum w Olsztynie na ekspozycji stoi tylko jedna rzeźba – popiersie Marii Zientary-Malewskiej. Charyzma została, ale pamięć – uleciała.

Ważne daty

Balbina Świtycz-Widacka

1901 – urodziła się w Mohylewie

1924-1929 – studia w ASP w Krakowie

1932 – ślub z Iwonem Widackim na Polesiu

1935 – złoty medal na wystawie w Pińsku (Polesie)

1939 – wybuch wojny, cała rodzina przeżyła wojnę w Kobryniu

1945 – przyjazd do Polski

1954 – zamieszkała w Olsztynie: praca nad rzeźbami, wystawy – m.in. Muzeum Mazurskie, BWA, zajęcia z uczniami, działalność społeczna (m.in. Towarzystwo Miłośników Olsztyna)

1972 – zmarła w Olsztynie 28 lipca

BEATA BROKOWSKA – dziennikarka, stypendystka Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Podczas pisania artykułu korzystała z materiałów udostępnionych przez Archiwum Państwowe w Olsztynie, archiwum Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie oraz z archiwum rodzinnego rzeźbiarki. Zaprasza na FB Śladami Balbiny Świtycz-Widackiej.

EWELINA ZDANCEWICZ

Kuźnia Społeczna

Zaczęło się od stajni. Miejsca, w którym kiedyś stały konie, a które od wielu lat popadało w ruinę. Jednak znalazł się ktoś, kto dostrzegł w nim potencjał. Bank Żywności w Olsztynie postanowił odnowić jeden z zabytkowych budynków po dawnych Koszarach Dragonów i w ten sposób dawna stajnia stała się Kuźnią Społeczną – przestrzenią do wydarzeń kulturalnych, spotkań, głębokich rozmów miejscem, do którego chce się wracać. Początki nie były łatwe – budynek Kuźni był bardzo zniszczony, zawilgocony w środku, z wieloma ubytkami w ścianach i zabrudzoną elewacją. Pod koniec 2017 roku poddano go rewitalizacji. Efekt? Strefa łącząca w sobie wiele działalności i przyciągająca ludzi. Budynek, który nie stracił swojego pierwotnego wyglądu – wszystkie historyczne elementy zostały zachowane, w tym zabytkowe detale stolarskie oraz żeliwne słupy. I cegły! Czerwona cegła, tak bardzo warmińska w klimacie, odzyskała dawny blask. Gdyby budynek mógł być charyzmatyczny, to z pewnością można by go tak określić. Na pewno można powiedzieć, że przyciąga ludzi, dobrą energię i innowacyjne pomysły. Do tej pory odbyło się w nim już setki wydarzeń: koncertów, konferencji, prelekcji, spotkań z autorami, stand-upów, a nawet milongi. W murach Kuźni gościli m.in. Marcin Meller, Paulina Potocka czy Tomasz Jachimek. Wybrzmiewały w nich dźwięki utworów takich zespołów jak: Poparzeni Kawą Trzy, Farben Lehre, Marek Dyjak, Czesław Mozil… Słowem: tu, gdzie dawniej słychać było końskie kopyta, po długiej przerwie znów toczy się życie. Tym razem kulturalne oraz odpowiedzialne społecznie, bo w końcu powstałe w zgodzie z ideami olsztyńskiego Banku Żywności. Idee te zakładają m.in. ratowanie żywności przed zmarnowaniem – a choć niby wszyscy zdajemy sobie sprawę ze skali problemu, to mało kto jest w stanie wyobrazić sobie 5 mln ton żywności wyrzucanej do kosza. Właśnie tyle jedzenia w Polsce tracimy tylko w ciągu roku. Działania prowadzone w Kuźni Społecznej pomagają odwrócić ten niezdrowy trend. Dlatego kuźniowa restauracja funkcjonuje w oparciu o ideę zero waste. Dba, aby chociaż jeden produkt użyty w każdym daniu został uchroniony przed zmarnowaniem. Podobnie działa Kuchnia Warsztatowa – przestrzeń dla pasjonatów jedzenia oraz tych, którzy są dopiero na początku swojej kulinarnej podróży. Wykorzystywana na warsztaty, przyjęcia okolicznościowe, urodziny była i jest świadkiem odkrycia wielu talentów kulinarnych. To jedno z niewielu miejsc w Olsztynie, gdzie pod okiem doświadczonych szefów kuchni można nauczyć się gotować – oczywiście w duchu less waste i zero waste.

Jednocześnie obok tych przestrzeni znajdują się sale konferencyjne, w których odbywają się wydarzenia kulturalne. Na inspirujący wykład można wybrać się do Sali Stajennej, a rozmowy z autorem posłuchać w Sali Stalowej – także nazewnictwo odwołuje się do historii tego miejsca. Sale są klimatyczne, wysokie i bez trudu można wyobrazić sobie, jak dawniej wyglądała tutaj codzienność. Tam, gdzie stały boksy, można się wygodnie rozsiąść i wypić herbatę, a przy okazji posłuchać o literaturze, kulturze, muzyce oraz tematach społecznych. Ponad nimi, na pierwszym piętrze, panuje wyjątkowe skupienie – a to dlatego, że tam znajduje się cowork, czyli obszar do wspólnej pracy. W otwartej przestrzeni stoją biurka i słychać cichy stukot palców uderzających w klawiaturę. W powietrzu nie czuć już siana, ale aromatyczny zapach kawy. Coworki to miejsca, które służą wszystkim wolnym strzelcom czy osobom, które chcą pracować w biurowej przestrzeni – ta potrzeba wybrzmiała w ludziach szczególnie mocno w czasach pandemicznych, gdy nikt nie mógł wyjść z domu. Po pierwszym zachwycie przyszła potrzeba przebywania z ludźmi, a coworki zyskały popularność. Ten, który działa w Kuźni, jest wyjątkowy – tylko tutaj zamiast zimnych biurowych ścian widać zabytkowe belki i cegły, odnowione tak, żeby cieszyć oczy. Oprócz wolnych biurek i biur nasz kompleks oferuje przestrzenie konferencyjne. Działają w nich programiści, dziennikarze, artyści i przedsiębiorcy. Przy wspólnym stole „socjala" powstał już niejeden biznes.

A skoro o biznesie i przedsiębiorcach mowa: projekty prowadzone w Kuźni pokazują, że podstawą jest pomysł i pragnienie działania. Jednym z nich jest Speed Up Your Business, który już trzeci rok pomaga rozwijać skrzydła start-upom z Warmii i Mazur. Dzięki niemu na rynku zaistniały wyrabiane w regionie naturalne świece czy ubrania w stylu couture. Rozwinęła się technologia, a w tym drukarka precyzyjnie nanosząca na ściany nawet najbardziej skomplikowane wzory czy nowoczesny system regatowy umożliwiający pasjonatom obserwację zawodników i analizę ich zmagań. Powstają też kolejne cuda, których premiera przypada na pierwszy kwartał 2023 roku.

Kuźnia to miejsce na styku wielu potencjałów. Dlatego gdy przejdzie się przez szklane drzwi w głębi budynku, znika atmosfera pracy. Słychać odgłosy codziennego życia – śmiech dzieci, rozmowy w różnych językach. To przestrzeń hostelu przeznaczona dla gości, którzy szukają odpoczynku i regeneracji. Odpoczywają tu nie tylko turyści, ale też osoby, które specjalnie przyjeżdżają do Olsztyna na wydarzenia odbywające się w Kuźni: koncerty, szkolenia, a nawet wesela i jarmarki. Tematyka atrakcji niejednokrotnie jest zaskakująca – od wydarzeń dla dzieci po konwent tatuażu.

Co więcej, już jesienią Kuźnia Społeczna organizuje pierwsze spotkanie tego typu w Olsztynie. W dniach 10-11 września odbędzie się tu pierwszy Olsztyński Konwent Tatuażu, podczas którego będzie można zobaczyć artystów przy pracy. A już w październiku odbędą się targi ślubne, gdzie zaprezentują się wystawcy związani z branżą ślubną. Zimą na dziedzińcu Kuźni jak co roku rozbłysną ciepłe światła świątecznych stoisk dla wszystkich, którzy będą chcieli wziąć udział w kolejnym bożonarodzeniowym jarmarku.

Każdy, kto trafiłby w to miejsce jeszcze kilka lat temu, uznałby, że nie ma już czego ratować. A jednak się udało. Powstała tu przestrzeń, w której spotykają się wizja i działanie. Czy charyzma ich nie potrzebuje? Wizji, do której trzeba przekonać innych i aktywnego działania, aby nie opierać się na pustych słowach? I najważniejsze: czy każdy z nas nie potrzebuje odrobiny charyzmy, aby każdego dnia iść do przodu?

Zacznijmy od miejsca. Dworzec Ełckiej Kolei Wąskotorowej przez prawie 100 lat łączył pograniczne peryferia z normalnotorową koleją otwierającą wrota świata przed mieszkańcami podełckich Sypitek, Kalinowa czy Zawad. Dworzec jest miejscem, które łączy, daje możliwość spotkania bliskich i innych. Spotkanie jest aktem twórczym, a jednocześnie pozostawiającym pewien element spontaniczności i nieprzewidywalności. Dziś dworzec Ełckiej Kolei Wąskotorowej jest siedzibą Muzeum Historycznego w Ełku i wciąż łączy ludzi, umożliwia spotkanie już nie tylko w podróży, ale też spotkanie myśli. W sposób symboliczny zatem specyfika miejsca, jego historyczne znaczenie, wpisuje się w ideę Forum Otwartego Regionalizmu, łącząc w sobie przeszłość z teraźniejszością w twórczym zderzeniu.

Forum Otwartego Regionalizmu jako pewną przestrzeń wymiany myśli wiele lat temu zainicjował prof. Robert Traba. W 2021 roku Forum pod przewrotną nazwą proFORma zostało reaktywowane w Ełku i w dniach 8-9 lipca 2022 roku odbyła się jego druga ełcka edycja pt. „Migracje na pograniczach – historie i współczesne konteksty". Gdy we wrześniu 2021 roku powstawała koncepcja FOR-u A.D. 2022 nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy, że wkrótce wybuchnie kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej, a wiosną 2022 r. do Polski przybędzie ponad 4 mln Ukraińców szukających schronienia przed rosyjską agresją. Temat migracji i pogranicza istniał jednak nie tylko w kontekście bieżącej sytuacji politycznej. Forum odbywało się w Ełku, w miejscu które w obecnym kształcie stworzyły powojenne masowe migracje, na dawnym pograniczu polsko-niemieckim – późniejszych Ziemiach Odzyskanych – gdzie ślady po dawnym pograniczu wciąż są widoczne w lokalnym krajobrazie kulturowym i w świadomości historycznej mieszkańców po obu stronach historycznej granicy.

JAKUB KNYŻEWSKI

Ważne tematy potrzebują przestrzeni. VI Forum Otwartego Regionalizmzu w Muzeum Historycznym w Ełku

Ideą przyświecającą od samego początku organizacji Forum, jest stworzenie przestrzeni wymiany myśli, snucia refleksji, twórczego zderzenia różnych koncepcji, postaw i poglądów. Formuła FOR-u – z jednej strony bardzo intensywna – to dwa dni spotkań, dyskusji a w tym roku również czytania krajobrazu – a z drugiej dająca swobodę wolnej wypowiedzi oraz interakcji prelegentów i słuchaczy, to szansa na spontaniczną i twórczą wymianę myśli bez ram akademickiej dyscypliny. Wśród poruszonych tematów znalazły się migracje na Ziemiach Odzyskanych po 1945 roku, problemy współczesnych migracji w Europie i związany z nimi głęboki kryzys tożsamościowy dotykający Stary Kontynent. Głosem praktyków mierzących się z problemem migracji było porywające wystąpienie Mariny Hulii i Dzieci z Dworca Brześć zorganizowane przez ełcką Dziurawą Skarpetę – grupę młodych ludzi zaangażowanych w pomoc uchodźcom. Finałem spotkania była rozmowa prof. Roberta Traby z Basilem Kerskim pt. „Tożsamość z wyboru", stanowiąca osobiste i autobiograficzne wyznanie o głębokim i uniwersalnym wydźwięku, będąca swego rodzaju manifestem wolności swojej samoidentyfikacji.

Swego rodzaju interludium było spotkanie wieczorem 8 lipca poświęcone wydaniu przez Muzeum Historyczne w Ełku Wschodniopruskości prof. Roberta Traby poprowadzone przez prof. Joannę Szydłowską (UWM). Jest to czwarte już wydanie klasycznej pozycji dotyczącej kształtowania się regionalnej wschodniopruskiej tożsamości w okresie dwudziestolecia międzywojennego.

Dodatkowym atutem jest umiejscowienie Forum w Ełku, poza administracyjnym i politycznym centrum, jednak nie w oderwaniu od tego co ważne – od myślenia uniwersalnego. Okazało się, że 250 km od Warszawy, w Muzeum Historycznym w Ełku mieszkańcy Ełku i Mazur mogą spotkać się w aktywnej i partycypacyjnej formule z autorką książki Poniemieckie Karoliną Kuszyk, redaktorem Adamem Krzemińskim z tygodnika „Polityka", dyrektorem Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku Basilem Kerskim, redaktorką miesięcznika „Znak" Dominiką Kozłowską, publicystką „Kultury Liberalnej" Heleną Jędrzejczak, z historykami, socjologami, politologami, kulturoznawcami: prof. Robertem Trabą (ISP PAN), prof. Małgorzatą Praczyk (UAM), dr Magdaleną Lemańczyk (ISP PAN), prof. Marcinem Zarembą (UW), dr Patrycją Sasnal (PISM), dr. Rafałem Żytyńcem (MHE), prof. Cezarym Obracht-Prondzyńskim (UG) i prof. Jackiem Poniedziałkiem (UMK). Na dwa lipcowe dni mazurski Ełk stał się kulturalnym i intelektualnym jasnym punktem poza klasycznie rozumianym centrum. Nad wszystkim zaś czuwał prof. Robert Traba, rozwijający od ponad 30 lat ideę otwartego regionalizmu i będący od ponad dekady spiritus movens kolejnych FOR-ów.

Fot. z archiwum autora

Istotą FOR-u jest spotkanie i doświadczenie. Stąd też nie ograniczaliśmy się wyłącznie do mniej lub bardziej oficjalnych dyskusji. Głównym punktem pierwszego dnia FOR-u było czytanie krajobrazu dawnego polsko-niemieckiego pogranicza, którego trasa wiodła przez Kosinowo (dawny ośrodek Braci Polskich w Prusach Książęcych), Rożyńsk Wielki i historie najazdu tatarskiego, dawny trójstyk granic Prus, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Królestwa Polskiego w Prostkach/Boguszach, miejsce straceń z II wojny światowej w lesie Kosówka, Stalag I E w Boguszach oraz Rajgród – miejsce pogromów żydowskich z czasów okupacji niemieckiej. Łączy je doświadczenie migracji, ruchu, spotkania w przestrzeni pogranicza – nie zawsze będące doświadczeniem pozytywnym, lecz często niosącym balast trudnych relacji pomiędzy narodami i grupami wyznaniowymi zamieszkującymi pogranicze Prus, Polski i Litwy. Miejsca te łączą w sobie relikty pamięci, pamięć zmanipulowaną pod wpływem dawnych i obecnych polityk historycznych, a często również jej kompletny brak. Czytanie krajobrazu jako poszukiwanie śladów przeszłości w przestrzeni publicznej i krajobrazie kulturowym tworzy szeroki program historii stosowanej o walorach edukacyjnych i naukowych, który mamy nadzieję wpisze się na trwałe w kolejne Fora Otwartego Regionalizmu. Tym samym już dziś zapraszamy do Ełku za rok, aby spotkać się w przestrzeni dialogu przeszłości z teraźniejszością, pamięci z niepamięcią, swoich i innych.

JAKUB KNYŻEWSKI – pracownik naukowy Muzuem Historycznego w Ełku, współautor m.in. książek „Skarby z ulicy Głównej", „Ełk 1920. Plebiscyt na Mazurach".

KATARZYNA GUZEWICZ

Lady Patricia vel Hrabina czy Ally?

W ciągu ostatnich lat możemy obserwować udaną przemianę z wokalistki w aktorkę. Jeszcze wcześniej z kompozytorki w sprawną bizneswoman. Ale czy artystyczna dusza wymaga etykietowania? Etykiety zawężają. A przecież to kobieta kameleon, tytanka pracy, rodzinna dziewczyna płacząca podczas wizyt u babci, amerykańska włoszka. Brunetka, blondynka, syrena, robot, chłopak. W jednym wcieleniu staje się Madonną, w innym Michaelem Jacksonem. Podważa i kreuje siebie na sto różnych sposobów. Może być każdym i każdą. Lady Gaga. Już w 2016 roku mogliśmy ją oglądać w serialu *American Horror Story* (serie *Ronaoke* i *Hotel*). Dwa lata później pojawiła się w filmie *Narodziny Gwiazdy*. Film ciepło przyjęty przez krytykę, choć według mnie historia nie rzucała na kolana. Ot, zmierzch jednej gwiazdy i wschód drugiej. Gratka dla miłośniczek niebieskookiego Bradleya Coopera.

W 2021 r. Lady Gaga wcieliła się w rolę niesławnej Patricii Reggiani/Gucci. I voila! Narodziny nowego talentu. Zanim udało mi się dostać film (czekałam grzecznie w kolejce w Muzotece 7 tygodni!), przeczytałam i obejrzałam wiele recenzji. Produkcję skrytykowali członkowie rodziny Gucci i sama „bohaterka", Reggiani, z którą Lady Gaga nie chciała spotkać się w trakcie przygotowań do roli. Nie wynikało to z niedbalstwa, bo do roli przygotowywała się bardzo sumiennie. Do tego stopnia, że gdy schodziła z planu, nadal czuła się czarnym charakterem włoskiego świata mody. Gaga nie zamierzała legitymizować działań morderczyni, która obecnie zbija kapitał na swoim czynie sprzed lat i powiązaniu z rodem Gucci. Według mnie decyzja słuszna.

Tak więc możemy tę historię traktować jako fikcję inspirowaną prawdziwymi wydarzeniami. Patricia w filmie jest pretensjonalna, w naturalnych futrach, obwieszona biżuterią. Mówi po angielsku z włoskim akcentem. Ciekawe jest to, jak odtwórczyni głównej roli pokazała proces przemiany z niewinnej (powiedzmy), miłej dla oka dziewczyny w zaślepioną żądzą odwetu i chciwością heterę. W filmie ukazano oszałamiające kreacje, wnętrza i przepych lat 80. XX wieku, na który dziś możemy patrzeć z niedowierzaniem (i pewnym nawet rozbawieniem). Gdyby jednak chodziło tylko o to, można byłoby z powodzeniem obejrzeć któryś z odcinków *Dynastii*. Ale jest tam coś jeszcze. Lady Gaga stworzyła postać kobiety, której trochę się współczuje, a trochę nie cierpi. Scena w zimowym kurorcie, gdy Maurizio ją gasi raz po raz, a ona odstaje od jego znajomych, bo ma do opowiedzenia tylko to, w jakiej restauracji jadła, jest smutne. Podczas tej sceny uświadomiłam sobie, że hasło „mezalians" nie odeszło do lamusa, a powiedzenie „za wysokie progi na lisie nogi" jest niestety bardzo aktualne. Patricia była prostą dziewczyną z wielkimi ambicjami. Gdy zauroczenie Maurizio opada, okazuje się boleśnie, że odstaje od wyśmienitego rodu, do którego aspiruje. A tej przepaści nie są w stanie zasypać żadne pieniądze.

Lady Gaga świetnie pokazała ten proces. W końcowych scenach wygląda na starszą i bardziej zmęczoną, ale to akurat zasługa charakteryzacji. Niemniej ani przez chwilę nie ma się wrażenia, że oto piosenkarka miała kaprys zostać aktorką. Rola jest bardzo wiarygodnie zagrana. Przerysowana, a i owszem, bo taka zapewne była bohaterka. Upokorzona w pewnym sensie na własne życzenie, bo kto czułby się na siłach zostać częścią rodziny Gucci: obrzydliwie bogatych znawców sztuki, artystów i dziwaków? Ja bym się nie porwała. Lady Gaga z powodzeniem stworzyła postać kobiety zaradnej, ale też chciwej. Kobiety na krawędzi, która mogłaby żyć we względnym luksusie, ale wolała iść na długie lata do więzienia, bo nie zniosła odrzucenia. Za fasadą pięknych dekoracji i modowych dzieł sztuki kryje się dramat z niedopasowania, zdrady i przerostu ambicji nad możliwościami. A Lady Gaga? Myślę, że dopiero się rozkręca…

Rys. Martyna Kozłowska

KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

Charyzma jest kobietą

Na swojej zawodowej drodze spotkałam setki fascynujących, inspirujących kobiet, które były obdarzone charyzmą. Dla mnie to taka umiejętność łączenia wszystkich wątków życiowych w jedną interesującą opowieść o życiu, pasji, pracy i rozwoju. Osoby obdarzone charyzmą to takie, którym się chce. A takich kobiet, którym się chce, jest całe mnóstwo w naszej przestrzeni. Jeżeli ktoś kocha to, co lubi, to dla nas, zwykłych śmiertelników, z pozoru zwyczajne rzeczy, opowiedziane przez osobę, która żyje tym i ładuje w to całą życiową energię, stają się niezwykłe.

Według „Słownika Języka Polskiego" Wydawnictwa PWN charyzma to: szczególne cechy osobowości, którym osoba je posiadająca zawdzięcza niekwestionowany autorytet u ludzi i wpływ na nich. Charyzma (gr. chárisma „dar") – termin zaczerpnięty z teologii, określał jednostki obdarowane łaską boską, „darem bożym". I tak w całej tej boskości jawi mi się kobieta, która w sposób godny mistrza żonglerki znajduje idealne proporcje pomiędzy domem, pracą a czasem wolnym. Kobieta charyzmatyczna to też taka, która w natłoku obowiązków potrafi znaleźć miejsce na zmęczenie, na nicnierobienie, na niemoc. Bo jak w sytuacji kryzysowej sobie z czymś nie radzimy, to po prostu sobie nie radzimy, to w niczym nie odziera nas z boskości. Często przyznanie się do tego, że kobieta obdarzona tą boskością nie daje rady, dodaje jej tylko charakteru. To jest charyzma.

Kobieta charyzmatyczna to kobieta liderka, przewodniczka, która nie nawołuje do zmiany w sposób zaborczy, nie manipuluje. Ona swoją postawą, pracą i swoim doświadczeniem przyciąga ludzi, dając im światło. Pozwala ogrzać się w swoim blasku i wyciąga z cienia jak matka. Na mojej drodze stanęły kobiety strażaczki, spadochroniarki, pilotki, żołnierki, przedsiębiorczynie, psycholożki, menadżerki i liderki. Choć nie jestem fanką feminatywów, to w tym przypadku użycie ich jest absolutnie zasadne. Natomiast kobieta ksiądz (pomysłu na feminatyw brak) stanowiła dla mnie absolutne odkrycie. Przewodniczka kościoła ewangelickiego, pastorka. Czy naznaczona charyzmą przez samego Boga? Czy zawsze każda nasza wartościowa, dobra cecha musi być boska, a zła szatańska? Spotkanie z nią uświadomiło mi, jak niełatwo być liderem w męskim świecie. Jak trudno jest być kobietą w wojsku czy w straży, gdzie musisz non stop udowadniać swoją przydatność i umiejętności bojowe. Z jaką misją związana jest ich rola w społeczeństwie. Jak ogromne znaczenie ma dla nas – kobiet walczących o swoje prawa, udowadniających swoją wartość w świecie – że możemy być świetnymi wynalazczyniami, naukowczyniami, dziennikarkami. Że mamy głos, prawo do tego, by mówić, by krzyczeć o swoich potrzebach. W naszej kobiecej delikatności potrafimy stworzyć ciepło domowego ogniska, ale umiemy też walczyć i wyrwać pazurami to, co próbuje się nam odebrać. To jest charyzma.

Charyzma to też odwaga. Do tego by walczyć, pokonywać słabości, oswajać strach, ale również by się bać. Odwaga do tego, by w strachu i w kryzysie dokonywać zmiany, szukać rozwiązania i możliwości. To stawianie czoła przeciwnościom losu. To siła, nawet gdy czasem jej już brak, to jest taka wewnętrzna moc, która nie pozwala się poddać, nawet gdy jesteśmy już bliscy śmierci. To jest charyzma. Charyzma jest kobietą. Jest matką, pracownicą, pracodawczynią, uchodźczynią, artystką, inżynierką, singielką, rozwódką, mężatką, naukowczynią, lekarką, nauczycielką, duchowną, pisarką, feministką…

KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO – plastyczka, dziennikarka radiowa i prasowa, blogerka. Specjalizuje się w tematach typowo kobiecych. Od 2018 roku prowadzi na antenie radia UWM FM autorską audycję pt. *Lejdi Gada, czyli kobiety przy mikrofonie* o kobietach, które w życiu realizują się na każdym kroku poprzez pracę, pasję, wykonując często nietypowy zawód. Jej bohaterkami są żołnierki, psycholożki, kucharki, krawcowe, przedsiębiorczynie, prezeski, pastorki, matki.

MARYNA OKĘCKA-BROMKOWA

NAD JEZIOREM BAJKA ŚPI

1922* 2022

dziennikarka, literatka, folklorystka
Od 1956 r. pracowała w Polskim Radiu Olsztyn. Zgromadziła bogatą taśmotekę pieśni i gawęd z Warmii i Mazur, ratując je przed zapomnieniem.

VariArt 2022